



Holandia • Europa • Świat

Scena Polska.nl

nr 1 (109)/2022

ISSN 1233-7633



- Jerzy Kryszak w Utrechcie
- Powitanie Wiosny
- „Oscary” polskiej turystyki



BIESIADOWNIK LINIE W OGNIU

W naszej kuchni wróciliśmy do korzeni. Reprezentujemy nurt kuchni zagłębiającej się w odległe czasy czyli historycznej. Gotujemy na żywym ogniu, kuchenkach opalanych drewnem, pieczemy w piecach chlebowych. Wyłącznie ekologicznie, sezonowo i bieszczadnie. Nasz bieszczadownik czynny jest w sobotę i niedzielę.

IMPREZY OKOLICZNOŚCIOWE

CATERINGI NA TERENIE POLSKI I UE

LINIEWOGNIU.PL 502 267 193

LINIE 3 64-310 LWÓWEK REZERWACJA@LINIEWOGNIU.PL

Z NAMI POCZUJESZ PRAWDZIWIY SMAK POTRAW



ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ
Redaktor Naczelna

Drodzy Czytelnicy

Pismo „Scena Polska” od początku czyli od 1994 roku towarzyszyło wydarzeniom organizowanym w Holandii przez działającą od 1992 roku Scenę Polską – Stichting Pools Podium. Na okładkach widniały zdjęcia znanych aktorów, plakaty filmowe i ilustracje zapraszające do udziału w tych wydarzeniach. Marzec 2020 zatrzymał czas spotkań w teatrze, kinie i salach koncertowych. Zostało uczestnictwo w wirtualnym świecie kultury. I tak jakoś przyzwyczailiśmy się do tego, że gdy pojawił się powrót do publicznych spotkań przyjmujemy to jakby z niedowierzaniem. Powoli zaczynamy wracać do życia zbiorowego. Scena Polska w Holandii rozpoczęła po przerwie zapraszać na spotkania. Ostrożnie, w plenerze z nadzieją na powolne wychodzenie z domów

i korzystanie z dobrodziejstw towarzyskich spotkań. Bo wybraniu się w Holandii na polskie wydarzenie kulturalne towarzyszy zawsze spotkanie starych znajomych i poznanie nowych przyjaciół. Tak też i było na „Powitanie Wiosny” w Utrechcie przypominającym tradycje topienia Marzanny. Udało się! Przez następne dni cieszyliśmy się prawdziwą wiosną! To dobry znak na powrót do spotkań w Teatrze Bez Granic, które to spotkania 30 lat temu zapoczątkowała Scena Polska w Holandii. Warto więc wybrać się jak kiedyś do Teatru Kikker 23 kwietnia na recital kabaretowy Jerzego Kryszaka pt. NIENAŻARTY i spacerować po starówce obchodzącego w tym roku 900 lat Utrechtu. O tym napiszemy więcej w kolejnym numerze Sceny Polskiej, bo początek świętowania przez miasto uzyskania praw miejskich rozpoczyna się 2 czerwca. A Scena Polska – Pools Podium uprzejmie zaprasza na, planowane w roku swojego Jubileuszu 30 lecia, imprezy. Większość planujemy właśnie w Utrechcie.

A co jeszcze w tym numerze? No, życie pisze tematy. Cóż, nie jest łatwo pisać o trudnych sprawach w piśmie wydawanym przez grupę zaprzyjaźnionych autorów, niektórych tworzących to pismo od początku. Przekonajcie się proszę czytając o czym piszą. W tych tekstach jest refleksja, jest mądrość i nadzieja. Miłej lektury!

POGODNYCH ŚWIĄT I POKOJU NA ŚWIECIE.



Spis treści

AGNIESZKA VIJVERBERG-TRETER Kiedy wiosna nadchodzi.....	str. 4
IWONA TYSZKIEWICZ I MONIKA SPYCHAJ Marzanna symbolem odchodzącej zimy.....	str. 5
KAROLINA PAWLUS Być Atlasem	str. 6
NIENAŻARTY – Jerzy Kryszak.....	str. 9
JERZY SKOCZYLAS To znowu ty	str. 9
ANNA FRANÇOIS-KOS „Hommage à L’Ukraine” w Brukseli.....	str. 10
WSPOMNIENIA Za wcześniej na wspomnienia... ONI będą zawsze z nami.	str. 11
EUGENIUSZ BRZEZIŃSKI Gdzie jesteś, Polski Inteligencie?	str. 12
ALEK SILBER Dwa słowa.....	str. 13
Grażyna Barszczewska – pół wieku na scenie. Gratulacje!.....	str. 14
KONRAD J. ZARĘBSKI Kalina i jej legendy.....	str. 15
JACEK KAŁUCKI Docent Doświadczalski	str. 16
DZIENNIKARSKA LEKCJA. O muzyce, z Krzesimirem Dębskim..	str. 18
Jerzy Hoffman świętuje 90 lat!.....	str. 19
ANDRÉ SKIBNIEWSKI Vento di Mare – Morski wiatr.....	str. 20
BOŻENA KOPCZYŃSKA Stichting Polish Culture NL	str. 23
Poznaj „Oscary” polskiej turystyki.....	str. 24
Maak kennis met de „Oscars” van het Poolse toerisme	str. 26
EDYTA WILK Pomaganie niesie nadzieję. Z Niderlandów w Bieszczady.....	str. 27

SCENA POLSKA | Nr 1(109)/2022 | ISSN 1233-7633

REDAKCJA: Zofia Schrotten-Czerniejewicz i zespół.

WYDAWCA: Stichting Pools Podium, Tel. +31 (0) 621 564 177, e-mail: poolspodium@gmail.com

Stichting Pools Podium, ABN AMRO Utrecht, IBAN: NL85 ABNA0 518544443.

www.poolspodium.org

ZDJĘCIA: Archiwum SPP

SKŁAD KOMPUTEROWY: Mariusz Mamek | Mac Map

OKŁADKA: Jerzy Kryszak, fot. archiwum SPP

DRUK: Drukarnia Swarzędzka Stanisław i Marcin Witecki sp.j.



Kiedy wiosna nadchodzi



AGNIESZKA VIJVERBERG-TRETER

Początek Wiosny to dla mnie uczucie nadziei, radości, zapachy, kolory i odgłosy natury. A do tego ludyczna zabawa "Powitanie Wiosny" z rytuałem topienia Marzanny przy śpiewie!

To powrót do dzieciństwa. Wspomnienia tych wszystkich Marzann, topionych w Kaczawie, mojej rodzinnej rzece. Wiosna 2022 ma dodatkowe znaczenie w kontekście pandemii i wojny na Ukrainie. Wiosna empatycznego bólu wobec ofiar dramatycznych wydarzeń. A zarazem ta Wiosna jako terapeutka, dająca nadzieję i pocieszenie.

Zaproszenie Sceny Polskiej na „Powitanie Wiosny” 2022 w Utrechcie przyjąłem jako prezent od terapeutycznej Wiosny. Czekaliśmy na nas malownicze miejsce na wyspie i Fort Blauwkapel z 1818 roku. Tu mogliśmy być ze sobą, rozmawiać o smutnych i wesołych sprawach, mogliśmy się bawić dając sobie nadzieję. Zwłaszcza chciałam żeby poczuła tę nadzieję ukraińska rodzina. Trzy pokolenia: babcia, córka, zięć i wnuczka. Dopiero



co w Holandii a dotarli już na tę imprezę zaproszeni przez organizatorkę. Ślawa Ukrainie! Nasze usta się nie zamykały, chociaż wypchane polskim chlebem ze smalcem i kiszonym ogórkiem. Hihi, rozmowa z "konsumpcją" o wolności!

Przekraczając most na fosie otaczającej fort nie wyobrażałam sobie bardziej trafnego miejsca dla "uśmiercenia" Marzanny. Początek Wiosny ma coś z militarnego konfliktu, z militarnej walki przyrody. Słońce atakuje ciepłem, a zimny wiatr to ciepło blokuje. Dzień jest ciepły, a wieczór już

ostrzega przed przymrozkiem. Jasne, błękitne niebo nagle zmienia się w szare!

Na terenie fortu zobaczyłam wiele młodych rodziców, którzy wspólnie z dziećmi rozpalali ogień w paleniskach. Co za radość, zwłaszcza dla dzieci. Uwiecznieniem ich wysiłku było nasze wspólne ognisko z pieczeniem kiełbasek! I oczywiście nie zabrakło intymnego koncertu z gitarą, moje wspomnienia młodości, gitara i pieśni Kaczmarskiego.

Takie powitanie Wiosny daje nadzieję!



Marzanna symbolem odchodzącej zimy

**IWONA TYSZKIEWICZ I
MONIKA SPYCHAJ**

Topienie Marzanny to jeden z wielu starsłowiańskich obrzędów kultywowany w Polsce do dziś dnia. Marzanna to według ludowych podań

słowiańska bogini, która symbolizowała śmierć. Gdy po jesieni obumierała natura, wierzono, że to przez Marzannę, dlatego utożsamiano ją z zimą. Śmierć Marzanny zgodnie z ludowymi wierzeniami oznaczała budzenie się przyrody do życia, czyli nadejście wiosny. Symbolem Marzanny była kukła ze słomy,

plótka i kolorowych ozdób, którą palono lub topiono. Wierzono, że obrzęd ten to ofiara mająca zapewnić przyszły urodzaj. Kultywując ten obrzęd i z utęsknieniem wypatrując wiosny spotkaliśmy się w niedzielę 20 marca 2022 w forcie Blauwkapel w Utrechcie. Imprezę zorganizowała Scena Polska – Stichting Pools Podium w Holandii. Spotkanie, choć w mniejszym niż spodziewano się gronie, pozwoliło nam odnowić stare i zawrzeć nowe znajomości. Z pieśnią na ustach grupowo utopiliśmy naszą Marzannę i puściliśmy na szerokie wody własnoręcznie zrobione papierowe stateczki. Po spełnieniu tego, jakże potrzebnego obowiązku, przystąpiliśmy do degustacji przygotowanych przez biorących udział w imprezie smakołyków. Obok słodkości nie zabrakło tradycyjnego pieczenia polskiej kiełbaski i chleba na ognisku przy dźwiękach gitary i wspólnych śpiewach. Imprezę zakończyliśmy przy kominku i lampce wina. Nasze działania były na tyle skuteczne, że od dnia imprezy towarzyszy nam piękna, wiosenna aura. Miło było spotkać się po tak długim okresie pandemii. Mamy nadzieję na kolejne towarzyskie spotkania, przy okazji organizowanych przez Scenę Polską imprez i wydarzeń kulturalnych. Zachęcamy wszystkich do śledzenia wiadomości o imprezach (23 kwietnia Jerzy Kryszak) i uczestnictwa w kolejnych spotkaniach. ■



Być Atlasem



KAROLINA PAWLUS

Według danych wysokiego komisarza ONZ ds. uchodźców (UNHCR) Polska jest obecnie drugim państwem na świecie po względem liczbę przyjętych uchodźców. Straż Graniczna informuje, że do naszego kraju przyjechało już ponad 2 miliony osób z Ukrainy. Stoimy w obliczu największego kryzysu uchodźczego w Europie od czasu II wojny światowej.

Rozwiązywanie tak trudnej sytuacji zrzucano na wolontariuszy, harcerzy i organizacje pozarządowe. Boję się i jestem świadoma, że są oni jak Atlas – niosą na barkach ciężar, którego unieść na dłuższą metę nie mogą. Bez wsparcia ze strony rządu i organizacji międzynarodowych ta chaotyczna, dopiero co zarysowywana struktura organizacyjna upadnie.

W Polsce unika się słów katastrofa humanitarna. Ale idąc za UNHCR nie boję się nazwać tak tej sytuacji. Nie jesteśmy ekonomicznie przygotowani na przyjęcie 2 milionów uchodźców. Jak dotąd nie ma praktycznie żadnych struktur państwowych, które mogłyby to ogarnąć organizacyjnie. Społeczeństwo mimo początkowych aktów solidarności – również wcale nie jest na to przygotowane, nawet mentalnie. Niestety, jest w tym pewna ironia. Bo gdy w 2015 rozpoczął się w Europie kryzys migracyjny, dla polskiego rządu problemem było przyjęcie 10 tys. uchodźców. Rządzący argumentowali swoją odmową tym, że w Polsce pomagamy uchodźcom z Ukrainy. No i jak to w życiu bywa... wykrakali. Żałuję tylko, że pozbawiono nas – społeczeństwa – bardzo ważnego doświadczenia, które pomogłoby mierzyć się z obecnym kryzysem. Nie rozwiązałyby go oczywiście, ale mieliśmy punkt odniesienia.

Struktury na wagę złota

Sporo w mediach mówiło się o oddolnych inicjatywach ludzi, którzy samodzielnie postanowili coś zrobić i pomagać Ukra-





incom. Taką inicjatywą jest choćby Grupa Centrum, która działa na Dworcu Centralnym. Ale to tylko jedna strona medalu. Bo wiem takie oddolne i niezależne działanie jest czymś pięknym, ale bez wsparcia i koordynacji za długo nie pociągnie. Stąd pomoc organizacji pozarządowych o stałych strukturach stała się wsparciem na wagę złota.

Do takich organizacji należą związki i stowarzyszenia harcerskie. Od końca lutego działa Mazowieckie PHH – czyli Pogotowie Harcerzy i Harcerek. Tworzą je osoby ze Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej, Skautów Europy i Stowarzyszenia Harcerskiego. Działają też w nim byli harcerze oraz osoby spoza organizacji, które po prostu chcą pomóc. W sumie PHH grupuje ponad 800 osób.

Organizacja ta jest zaangażowana w około 15 różnych akcji pomocowych. W tym dwie na granicy – jedna polega na rozdawaniu gorącej zupy, druga koordynuje wolontariaty w punktach recepcyjnych. PHH wspiera też przez całą dobę takie miejsca jak CRS Bielany, Arena Ursynów, Torwar i Dworzec Centralny: trzy punkty organizujące tymczasowe noclegi oraz największy dworzec w Warszawie.

Przeglądając grafiki miejsc służby (harcerze nie używają słowa „wolontariat”, lecz właśnie „służba”), rozmawiając z moimi zaangażowanymi w to znajomymi – wiem, że PHH tworzą głównie studenci i licealiści. Osoby, które uczą się i pracują. System zmianowy nie zawsze się sprawdza i zdarzają się momenty, kiedy trzeba ludzi angażować na ostatnią chwilę. Nie potrafię pojąć, czemu wojewoda zrzucił na harcerzy tak dużo zadań. Nie wiem, dlaczego władze harcerskie się na to zgodziły, zwłaszcza na Centralny.

Płonący Centralny

Punkt informacyjny na Dworcu Centralnym podlega wojewodzie mazowieckiemu,

który długo nie interesował się akcją pomocową dla uchodźców. Wszystko spoczęło na barkach Grupy Centrum. I mimo najlepszych chęci wolontariuszy na dworcu panował chaos. O tym, jak było źle – jednak nie, podkreślam, z winy wolontariuszy – zaczęły w pierwszym tygodniu marca informować media. Wtedy dopiero wojewoda się zawstydził i wymyślił „rozwiązania”.

„Chaos na Dworcu Centralnym. W planach namiot, wydawanie jedzenia i harcerze” – taki nagłówek ukazał się 6 marca w „Gazecie Wyborczej”. Okazało się, że wojewoda zamiast dogadać się z miastem i skierować na dworzec służby socjalne, zadanie koordynowania wolontariuszy zrzucił na harcerzy. Ostatecznie na Centralnym pojawili się strażacy. I to oni 9 marca – nie wiadomo, na jakiej zasadzie – przejęli zada-

Chaos na tłumie się nie kończył. Głównym zadaniem PHH na dworcu jest rejestracja wolontariuszy. Kiedy wreszcie dotarłam do punktu, okazało się, że zamiast harcerzy rejestrują wolontariuszy strażacy. Zosia, która była wtedy liderem punktu koordynacyjnego, ciągle podejmowała próby, by grzecznie panów strażaków wyprosić. W końcu udało się, ale nie bez zgrzytu. Ten nie do końca klarowny podział pracy to też jeden z elementów chaosu. Wcale nie jest oczywiste, kto się ma czym zajmować.

Chaosik

Rejestrowałam wolontariuszy na Centralnym dwukrotnie. Pierwszy raz 9 marca, potem byłam tam tydzień później. Zaliczyłam też nocną zmianę, w punkcie organizującym transport dla uchodźców. Za każ-



nie koordynowania akcji pomocowej. Ale chaosu to nie uspokoiło.

Samo PHH działa na Dworcu Centralnym od 6 marca – z pełną świadomością, jak bardzo zła jest tam sytuacja. Wiedzieli, że ze swoimi ograniczonymi zasobami nie są w stanie w pełni sprostać temu zadaniu. W swoim grafiku określili to miejsce – i słusznie – „Płonącym Centralnym”.

Tłumnie na dworzec

Na Centralny trafiłam po raz pierwszy 9 marca. I byłam przerażona tym, co zobaczyłam. To było jedno wielkie kłębówisko ludzi – uchodźców, wolontariuszy, podróżnych krajowych i zagranicznych, pracowników kolei, strażaków i bezdomnych. Nie byłam wręcz w stanie znaleźć miejsca, gdzie rejestrują się wolontariusze. Także dlatego, że te punkty nie były oznaczone.

dym razem moje zdziwienie budziło tempo zmian. W jednym tygodniu na antresoli dworca był punkt z ubraniami, tydzień później takiego punktu już nie ma. Jednego dnia możemy wolontariuszy rejestrować, kiedy chcą, innego dnia mają przychodzić w godzinach, gdy odbywają się dla nich szkolenia. Za każdym pobycem odkrywam kolejne, czasem wręcz drastyczne zmiany.

Nie jest źle, że sytuacja jest tak dynamiczna – te zmiany zazwyczaj poprawiają sytuację. Cieszy, na przykład, że wreszcie oznaczono punkty w języku polskim i ukraińskim. Szkoda tylko, że nikt wolontariuszy o tych nowościach nie informuje. Nie wiem, dlaczego wciąż to jest problemem.

Praca w punkcie głównym (czyli koordynacyjnym) jest wyzwaniem. Nie tylko rejestrujesz i wyrejestrowujesz wolontariuszy,

C.D. NA STRONIE 8 >>>



>>> C.D. ZE STRONY 7

trzeba też być gotowym do odpowiedzi na miliony pytań, których zazwyczaj nie rozumiesz (bo zadano je po rosyjsku lub ukraińsku). Zwykle to nie są nawet pytania do ciebie, więc przekierowujesz pytających do innych punktów na dworcu: do transportowego, do noclegowego, do tego z kartami SIM, do pokoju matki i dziecka. Ale i tak musisz poświęcić chwilę, by wysłuchać danej osoby.

Ale najbardziej ze wszystkiego boję się sytuacji, gdy źle odpowiem na pytanie, powtórzę nieprawdę. Miałam taką sytuację z Flixbusami. Ktoś z wolontariuszy z punktu transportowego powiedział mi, że Flixbusy dla uchodźców są darmowe. Nie zweryfikowałam tej informacji i zaczęłam ją powtarzać. Tymczasem Flixbusy dla Ukraińców są darmowe tylko z Przemysła do Warszawy, dalej trzeba wykupić bilet. Było to zawstydzające, jakkolwiek uczące doświadczenie. Lepiej zapytać koordynatora lub przyznać się, że nie mogę pomóc niż wprowadzić w błąd.

Cały świat na jednym dworcu

Wolontariusze na Centralnym to najróżniejsi ludzie. Od nastolatków po starszyców, od ludzi którzy nie znają języków obcych po poliglotów z sześcioma językami. Bardzo dużo wolontariuszy pochodzi ze wschodu – Ukraińcy, Rosjanie, Białorusini. Przychodzą też ludzie, którzy przyjechali z bardzo daleka, by pomagać – ze Stanów, Hiszpanii, z Indii czy krajów arabskich. Na Centralnym naprawdę widać, jak cały świat chce wspierać Ukrainę.

Szczególnie wzruszające były sytuacje, gdy przychodziło rejestrować osoby, które same są uchodźcami z Ukrainy, wśród nich

lekarka, która dopiero co uciekła z Kijowa. W obliczu trudności, nie poddała się i sama chce pomagać innym, którzy może gorzej radzą sobie z tą sytuacją. Myślmy o uchodźcach jako o tych, którzy potrzebują naszej pomocy, ale to tylko ułamek prawdy. Oni sami również pomagają, nie pozostają bierni w obliczu kryzysu.

Ja proszę do Tel Awiwu

Wolontariat w nocy nie jest łatwiejszy niż w dzień. Jest wprawdzie mniej ludzi – nie ma podróżnych, ale uchodźców wciąż jest sporo. Co gorsza, w nocy jest też mniej wolontariuszy, więc pracy może być więcej.

Służba w punkcie transportowym jest szczególnie stresująca. Tu liczy się informacja: mówi się skąd odjeżdżają pociągi, skąd busy, autobusy, jak dojechać do konkretnego miejsca. Łatwo o pomyłkę, niedogadanie się. Czasem naprawdę trzeba się nagłowić, by pomóc. I mimo pomocy tłumaczy, kontakty z uchodźcami nie zawsze są łatwe. Szczególnie, kiedy okazuje się, że nie za bardzo możemy im pomóc.

Jedną z sytuacji, która dała mi sporo do myślenia, miała miejsce około 3 w nocy. Podchodzi do punktu kobieta i oznajmia mi po rosyjsku, że chce do Tel Awiwu. Patrząc na nią trochę osłupiała (to dworzec w końcu jest). I pytam przez tłumacza, czy ta pani chce się tam dostać samolotem. Potwierdza. Więc ja mimo zdziwienia zaczynam wyszukiwać jej loty i tutaj zaczynają się schody. Po pierwsze, nie ma już miejsc na najbliższe loty bezpośrednie. Po drugie, ta podróż wcale nie jest taka tania, a pani nie ma ze sobą tylu pieniędzy. My nie możemy kupić jej tego biletu, ale może ma w Izraelu jakąś rodzinę. Tak, mieszka tam jej córka. Tłumacz pyta,

czy może w takim razie córka nie mogłaby jej kupić tego biletu. Kobieta sięga po telefon i dzwoni, niestety, bezskutecznie. W końcu w Izraelu jest 4 nad ranem i córka pewnie śpi. Kobieta coraz bardziej się denerwuje i wciąż dopytuje o lot bez przesiadki: obawia się bariery językowej na lotnisku. A my nie możemy jej zapewnić, że w Niemczech, miejscu przesiadki, będą tłumacze. Pani zaczyna puszczać nerwy, zestresowany tłumacz próbuje ją uspokoić, ale nie radzi sobie językowo, rosyjski zna średnio, lepiej mówi po ukraińsku. Muszę szukać innego tłumacza. Ostatecznie, nie potrafiłmy jej pomóc, a pomysł, by skierować ją do ambasady Izraela o 3 w nocy nie przyszedł mi do głowy.

Przetrywamy?

Stres jest ogromny, mimo najlepszych chęci czasami można się załamać. Bo ludzie są różni – mili, wredni, pełni pretensji, wyrozumiali. Nie potrafiłam pójść na Dworzec więcej niż dwa dni z rzędu. Po prostu, psychicznie było to dla mnie za trudne. Dużo było we mnie frustracji, braku zrozumienia: bo jak można się pytać o wyjazd do Tel Awiwu czy Londynu na dworcu kolejowym? A z drugiej strony należy pamiętać, że ludzie naprzeciw nas są bardzo traumatyzowani, bo całe ich życie legło w gruzach. Mają prawo zachowywać się w sposób, naszym zdaniem, pozbawiony logiki.

To paradoksalne: z jednej strony nie jest łatwo pomagać, to strasznie męczące i trudne psychicznie, ale z drugiej strony niepomaganie, gdy widzi się ten dramat, też przynosi psychiczne cierpienie. Z tego powodu łatwo przedobrzyć: mam koleżankę, która jednocześnie studiuje, pracuje codziennie i chodzi na wolontariat każdego dnia, przez co w nocy śpi raptem dwie godziny. Jak długo tak pociągnie? A inni, którzy pomagają kosztem własnego zdrowia? Tak się nie da żyć. A przecież nie wiemy, ile jeszcze potrwa ta wojna.

Inna sprawa, że sytuację na Dworcu Centralnym dałoby się rozwiązać. Bez zamęczenia wolontariuszy, organizacji pozarządowych i harcerzy. Musiałby tylko wojewoda – zamiast zapewniać, że wszystko jest pod kontrolą – poprosić o pomoc ekspertów. Wprowadzić skuteczny system komunikacji i zarządzania. Dobrym rozwiązaniem, proponowanym już w mediach, byłoby porozwinięcie uchodźców do innych miast. Z odpowiednią organizacją, ze specjalistami, urzędnikami, wsparciem organizacji międzynarodowych – nawet Płonący Centralny nie byłby taki straszny.

Jeśli przestaniemy wypierać istnienie tego kryzysu i naprawdę się z nim zmierzmy – przetrwamy. I może nawet wyjdziemy z niego – jako społeczeństwo – silniejsi.

ZDJĘCIA: WOJTEK PRZYBYSZ

NIENAŻARTY

Jerzy Kryszak

Urodził się 24.04.1950 roku w Kaliszu, aktor, satyryk, felietonista, reżyser, scenarzysta, mąż, ojciec, brat, kucharz, ogrodnik, kierowca, fotograf. Sadzi, plewi, śpiewa, recytuje, pomrukuje, komentuje, bawi, wzrusza. Ludzi lubi, szanuje, podziwia, czasem nie cierpi. Kocha żonę, synów, siebie, naturę. Taką ma naturę i naturalną potrzebę. Po ukończeniu PWST w Krakowie zagościł w Teatrze im. J. Słowackiego skąd po kilku latach przeniósł się do warszawskiego Teatru Ateneum kierowanego przez jedną najwybitniejszych postaci polskiego teatru – Janusza Warmińskiego. Popularność przyniosły mu role teatralne od Robespiera po Hamleta, filmy od „Wodzireja” przez „Thais”, „Mężczyznę niepotrzebnego”, seriale „Kancelarz”, „Akwen Eldorado”, „Alternatywy 4” oraz dziesiątki teatrów TV i programów rozrywkowych. W latach 1991-1993 wraz z Andrzejem Zaorskim i Marcinem Wolskim redagował w TVP1 „Polskie ZOO”. Znany jest też z programów telewizyjnych takich jak: „Mój pierwszy raz”, „Dzień Kangura” „Uważaj na kioskarza”. W latach dziewięćdziesiątych odszedł od teatru i kina i zajął się twórczością kabaretową. Występował w programie HBO na Stojaka, emitowanym na



Pools Podium - Scena Polska w Holandii zaprasza

JERZY KRYSZAK

„NIENAŻARTY” - recital kabaretowy

Sobota 23.04.2022 / godz. 19:00

Teatr Kikker w Utrechtie
 Ganzenmarkt 14, 3512 GD, Utrecht

Bilety z rezerwacją € 35
 (odbiór biletów przy wejściu przed spektaklem)

Informacja & rezerwacja biletów
poolspodium@gmail.com, tel: +31 621 564 177
www.poolspodium.org / www.facebook.com/scenapolska
 Konto: IBAN NL85 ABNA 0518544443 / Stichting Pools Podium



antenie HBO i HBO Comedy. Często bierze udział w Kabaretonach. Swoimi występami niejednokrotnie doprowadza publiczność do łez, jednak jego teksty nie dają się powtórzyć w formie dowcipu. Jerzego Kryszaka trzeba zobaczyć na żywo, gdyż jest wybitną postacią polskiej sceny satyrycznej, ale jak sam mówi o sobie „nie-kabareciarzem”. Stojąc sam na

scenie przez dwadzieścia lat nie wiedział, że jest stand up... standup... standupistą... standuperem... W PRL-u mógłby być standupeerelem, lub krócej – duperem. Badania dowodzą, że Jerzy Kryszak obcina włosy dwa razy do roku – z okazji Wielkanocy i Bożego Narodzenia. Natomiast z okazji urodzin je czesze. ■

To znowu ty



JERZY SKOCZYLAS

Czy to wypada, żeby przyjść bez zapowiedzi, z dnia na dzień, zburzyć harmonię, rozchwiać ład, zasiać niepokój, przerwać sen? Czy to jest ładnie tak się wkraść, bez zaproszenia zjawić się, i w sercu jak w fotelu z drgnień, bez troski rozpanoszyć się? Czy godzi się wyglądać tak, że oczy płoną, Boże mój, i na dodatek ubrać się



w tak karygodnie skąpy strój? W sukienkę, której wążła biel prześwitująca barwę ma i trąca wiolinowy klucz, który zwodnicze nuty gra? Czy to przystoi uśmiech mieć tak łobuzerski, cudny tak, na płatkach karminowych ust, co mają słodko winny smak? Czy to jest w dobrym stylu by wtuliwszy się w gwieżdzisty koc pod księżycowym sierpem tkwić, komety wypatrując w noc? Co chcesz usłyszeć? To, że mi tak bardzo było ciebie brak, twej woni i dotyku łąk, że nie dasz wiary, że aż tak? Wiem, że znów znikniesz, ja cię znam, to stały fragment twojej gry. Opuścisz mnie i pójdziesz w świat, otwarte zostawiając drzwi. Więc póki jesteś, przytul się, niech ta cudowna chwila trwa, znów powiem ci, że Kocham cię. Dobrze, że przyszłaś ... wiosno ma. ■

„Hommage à L'Ukraine” w Brukseli



ANNA FRANÇOIS-KOS

W czwartek 24 lutego obiegła wieść o ataku zbrojnym Rosjan na Ukrainę. Zdumienie, konsternacja, zaskoczenie i bunt... Co zrobić? Co może zrobić ktokolwiek z nas? Co w tej sytuacji może zrobić artysta?

To pytania, które zadawała sobie także jedna z większych polskich artystek mieszkających w Belgii, dyrygentka Zofia Wiślocka. Chodząc po domu w tą i z powrotem biła się z myślami, aż nagle zrozumiała: – Jedyne, co mogą zrobić to tylko koncert „W hołdzie dla Ukrainy”!!!

I natychmiast zaczęła akcję telefonów do wszystkich znanych jej muzyków i artystów w Belgii. A że zna ich naprawdę sporo, reakcja była błyskawiczna. Wszyscy artyści deklaruowali chęć bezpłatnego występu na koncercie specjalnym poświęconym Ukrainie.

Uniwersytet Wolny w Brukseli (ULB) udostępnił bezpłatnie prestiżowy amfiteatr, salę „Henri La Fontaine”. Symboliczną w swojej wymowie, bo Henri La Fontaine był prawnikiem i ekspertem prawa międzynarodowego. Współpracował z Międzynarodowym Stałym Biurem Pokoju, działał na rzecz zwoła-



nia haskich konferencji pokojowych w 1899 i 1907. Za wkład w międzynarodowy ruch pokojowy został uhonorowany Pokojową Nagrodą Nobla w 1913 r.

Koncert, który odbył się 16 marca zgromadził przeszło 120 muzyków. Na sali zebrali się około 800 melomanów, którzy tylko podczas koncertu wrzucili do urn sumę w wysokości około 3000 €. Nieznana jest jeszcze suma wpłat na specjalne konto dla Ukrainy, bo koncert nagrywany był przez TV BX1, która co chwila przypominała nr tegoż konta publiczności i telewizjom. Koncert retransmitowany był zresztą w telewizji kilka razy przez dwa dni.

Wystąpiły 2 orkiestry ULB: I Muzyci Brucellensis pod dyr. Zofii Wiślockiej, Orkiestra Harmonie pod dyrykcją Nicolais Grau Ribes i chór pod dyr. Thierry Vallier.

Obecni byli także soliści. Rosyjska pianistka Anaid Karpowa, która grała między innymi Szopena. Muzyk ukraiński z Kijowa, Ilya Ulyanov zagrał i zaśpiewał wzruszające piosenki ukraińskie. Belgijka Sophie de Tillesse (mówiąca zresztą świetnie po polsku) śpiewała i recytowała wiersz „Que faire” („Co robić?”) Paula Smets, piosenkę Jacques’a Breła „Inaccessible étoile” śpiewał tenor Pierre Van Damme. Koncert zakończył się wspólnym śpiewem chóru ULB i publiczności hymnu europejskiego „Ody do radości” w wersji niemieckiej i francuskiej.

Ten solidarnościowy wieczór, wspierany przez rektor ULB, panią Annemie Schaus, prorektora ds. społecznych i studenckich oraz kultury pana Alaina Levêque, przy współpracy ULB Culture był jednym z przykładów wielu demonstracji solidarnościowych organizowanych obecnie przez brukselską społeczność uniwersytecką na rzecz Ukrainy.

To jakże chwalebne, improwizowane zgromadzenie muzyczne miało na celu ożywić nadzieję, która przede wszystkim rozbłyskuje w naszych sercach. Przesłanie mówiło: „Jesteśmy tutaj, obserwujemy, a nasz głos, muzyka i kultura, jest wolny od nienawiści”, ponieważ największym ryzykiem stawienia czoła potworom jest pobłażanie im.

Brawo dla Zofii Wiślockiej za inicjatywę i organizację tego koncertu pełnego solidarności, serdeczności, wzruszających emocji, po prostu ludzkości wobec otaczającej naród ukraiński tragedii.

PS. *Koncert, który trwał przeszło 3 godziny, w skróconej 1-godzinnej wersji, można obejrzeć na YouTube pod linkiem: <https://www.youtube.com/watch?v=McmmVND-PjS8>*



Za wcześnie na wspomnienia... ONI będą zawsze z nami.



Janina Nikerk 1936 – 2022

Niedokończona opowieść.

Tuż przed śmiercią Janina opowiedziała mi swoje życie. Od Lwowa do przyjazdu do Wielkiej Brytanii. „Przyjedź proszę jak trochę się wzmocnię...dokończymy...” Zadzwoniłam dzień przed Jej odejściem. „Zadzwoń do Ciebie, ale wiesz, jak pojechałam do Anglii...” I znów niesamowita opowieść. Nie nadążyłam notować. Kilka

dat, kilka nazwisk i miejscowości. Ten odcinek, mam nadzieję, dopowie mi brat Janiny i siostrzeńcy z Anglii.

Janina poznała swojego męża Holendro-Polaka Jana Stanisława Nikerka w Paryżu. Od tej pory był tylko Jaś! I takich, nierozłącznych (teraz są już razem...) poznałam w 1984 roku w czerwcu w Delft. Bywali na wszystkich naszych uroczystościach, stali się częścią naszej rodziny. Jan Nikerk odszedł w 2009 roku. Pochowany został w Polsce. Janinę nadal spotkać można było na wszystkich imprezach Sceny Polskiej, bo jak powiedziała kiedyś do kamery: „Wychowałam się we Lwowie gdzie teatr był czymś bardzo ważnym.”

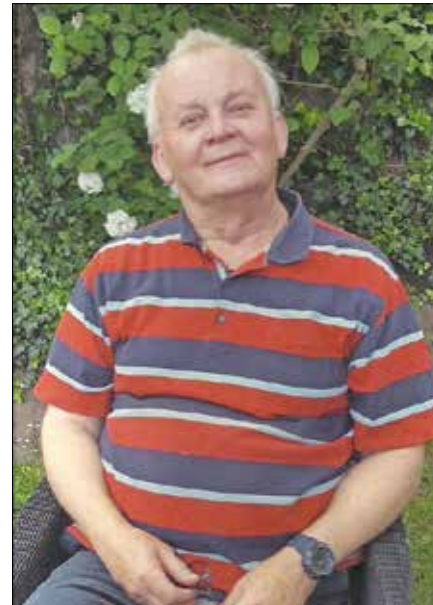
Taśma z wywiadem i rozmowa z bliskimi o Jej życiu czekają na opracowanie. Jej

głos brzmi jeszcze w moich uszach. Muszę nabrać dystansu i uświadomić sobie, że tego głosu nie usłyszę już w telefonie. I wrócić do Lwowa gdzie przyszła na świat, a Jej ojciec był sędzią. Jakim był Jej Lwów, jakim jest i jakim będzie...trudno teraz skupić myśli na przeszłości. Nawet naszej bohaterskiej Janiny, dziecka okrutnej wojny światowej, która przez Sybir, a potem z Armią Andersa przez Persję trafiła do Anglii i potem do Holandii. Historia życia Janiny Nikerk wymaga rzetelnego opisanie. I jestem Jej to winna.

Niedokończone życie.

Syn zmarłego podzielił się wspomnieniem, że jako dziecko powtarzając modlitwę „Ojciec nasz...” zawsze dodawał: „... mój ojciec jest z Polski!” Krzysztof Cichocki urodził się w Warszawie. Na uroczystości pożegnania, z głośników, popłynęły słowa piosenki „Sen o Warszawie” w wykonaniu Niemena. Ta uroczystość była niezwykła, tak jak i sam Krzysztof.

Razem z Yvonne (dla nas Iwonką) przeżyli razem 54 lata i dochowali się dwóch wspaniałych synów oraz liczne grono przyjaciół. W swoim domu w Heusden Yvonne Marechal-Cichocki prowadziła przez lata Honorowy Konsulat Rzeczypos



Krzysztof Cichocki 1947-2022

politej Polskiej. Przyjmowała wysokich urzędników i przyjaciół, wielokrotnie też artystów goszczących na zaproszenie Sceny Polskiej. W Ich domu biją polskie serca. Choć dzisiaj jedno zamilkło, to nie znaczy, że odeszło w zapomnienie. Każdy kto znał Krzysztofa, Krisa wspomina Jego precudny sposób bycia. Gdziekolwiek by się nie pojawił, to zawsze uśmiechnięty i chętny do dowcipów. Rozsiewał dobroć i przyjacielską atmosferę. Przy Nim zawsze Ona, Iwonka... I na zawsze Scena Polska w Holandii, z którą był od początku związany.

Tutaj także trudno mi skoncentrować się na wspomnieniach o Kimś, kto wciąż jeszcze jest z nami. Odchodzi się powoli, a niektórzy nie opuszczają nas nigdy. O Krzysiu i Iwonce, o ich polskich sercach i wspaniałych osiągnięciach, należy napisać dużo więcej. W tym miejscu przekazujemy serdeczne wyrazy współczucia Iwonce i synom: Borisowi i Igorowi. Jesteśmy z Wami.

ZOFIA

SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ
Z PRZYJACIÓŁMI
ZE SCENY POLSKIEJ
– POOLS PODIUM W HOLANDII
ORAZ ZESPOŁEM
REDAKCYJNYM
„SCENY POLSKIEJ”



Gdzie jesteś, Polski Inteligencje?



EUGENIUSZ BRZEZIŃSKI

Niedzielne popołudnie, 27 marca. Pogoda piękna, słonecznie, choć dość chłodno. Większość (?) z nas jest pewnie na spacerze. Z dziećmi lub bez. Trzeba korzystać z niedzieli, ze słońca, bo przecież cały tydzień „siedzi się w murach”. W Bibliotece Polskiej w Amsterdamie dokładnie o 15-tej zaczyna się kolejne „Spotkanie z Autorem”. Tym razem jest to znany dziennikarz, reportażysta Marek Górlikowski. Nazwisko może mniej zadamowane niż Tokarczuk czy Myśliwski, ale przecież każdy zainteresowany, zajrząwszy do Netu, dowie się, że jest to autor dwóch głównych biografii: Hanny i Antoniego Gucwińskich (pamiętacie „Z kamerą wśród zwierząt”? Oczywiście, że pamiętacie!) oraz Józefa Rotblata. Kto to jest Józef Rotblat? Ano właśnie. Który Polak dostał pokojową Nagrodę Nobla? Wszyscy zgodnym chórem zakrzykniecie: Lech Wałęsa! I jest to odpowiedź tyleż poprawna, co niestety niekompletna. Otóż w roku 1995 pokojową Nagrodę Nobla otrzymał właśnie Józef Rotblat. I o nim jest druga – czy raczej pierwsza – książka Marka Górlikowskiego: „Noblista z Nowolipiek”. Opowieść o człowieku, który najpierw tworzy bombę atomową (projekt Manhattan) by potem stać się jej najzagorzalszym przeciwnikiem.

No więc właśnie z autorem tych dwóch biografii, z których jedna była finalistką prestiżowej Górnośląskiej Nagrody Literackiej „Juliusz”, a druga stała się książką roku 2021 portalu „Lubimy Czytać” było to niedzielne popołudnie. Mogłoby się wydawać, że amsterdamska (żeby nie powiedzieć – niderlandzka) Polonia, spragniona polskiej kultury, osobistych spotkań z jej twórcami, ciekawa dobrych, interesujących książek, stawi się masowo na takim spotkaniu. To wszak prawdziwa gratka: mieć polskiego pisarza na wyciągnięcie ręki, porozmawiać z nim, dostać ewentualnie jego autograf. Okazuje się, że nic bardziej mylnego! Na spotkanie z Autorem przyszło raptem...dwanaście osób! Z ponad trzystu zawiadomionych osobiście poprzez dwukrotnie rozesłaną

mejlowo informację tylko trzy osoby okazały zainteresowanie. Reszta obecnych na sali to albo znajomi Autora, albo znajomi zarządu Biblioteki, albo osoby które dowiedziały się „skądinąd” (Facebook, strona internetowa, itp.). O czym to świadczy? Czy w całym Amsterdamie, gdzie mnóstwo Polaków znalazło zatrudnienie w międzynarodowych korporacjach, gdzie „stara” śmietanka towarzyska jest ciągle uzupełniana młodą inteligentną krwią, nie ma kompletnie zainteresowania polską literaturą? I to wszystko po dwóch latach covidowej posuchy, po tym jak bardzo ponoć wszystkim brakowało spotkań z żywą kulturą?

Piszę ten teks goryczą. Bo mi wstyd. Wstyd wobec Marka Górlikowskiego. I nie o Niego tu tylko chodzi; na spotkaniach autorskich z Cezarym Łazarewiczem, Martą Grzywacz czy Kamilem Bałukiem frekwencja wcale nie była dużo większa. Wstyd też wobec tej garstki wolontariuszy, którzy dwoją się i troją, żeby zapewnić polskim *ekspatom* – ale i tym na stałe osiadłym w Holandii – odrobinę rodzimej kultury. Wstyd mi za Was, Rodacy.

Inteligencje Polski, Działaczu organizacji z „polską kulturą” lub „polską szkołą” w nazwie, zwracam się bezpośrednio do Ciebie: czy przestałeś czytać (polskie) książki? Czy nie interesują Cię kontakty z polską kulturą? Czy za nic masz polski teatr? Gdzie jesteś, gdzie się zadekowałeś, jak do Ciebie dotrzeć, jak Cię poruszyć, zainteresować, odwołać się do Twojej potrzeby bycia „człowiekiem kulturalnym”? Moje mniej lub bardziej aktywne zaangażowanie w trzydzieści lat działalności „Sceny Polskiej w Holandii” i niemal

piętnaście lat „Biblioteki Polskiej w Amsterdamie” (dawniej, stworzonego przez Iwonę Smoktunowicz, „Domu Polskiego”) zaowocowało poznaniem naprawdę wielu osób, z którymi znajomość poczytywałem sobie za prawdziwy zaszczyt. Gdzieście się wszyscy podziali? Gdzie się ukrywacie? Dlaczego nie przychodzicie na imprezy, które dla Was przecież organizujemy? Naprawdę wolicie posiedzieć tę godzinę dłużej w marcowym słoneczku? Rzeczywiście jest to większą pokusą, niż godzina czy półtorej w kręgu polskiej kultury? Jeśli tak faktycznie jest, to może lepiej będzie, jak damy sobie spokój. Bo przecież to, co robimy, robimy głównie z myślą o Was. Ale może Wy wcale tego nie potrzebujecie? Może wolicie siedzieć przed telewizorem? Albo w ogródku za domem? No cóż, wolny kraj, każdy ma swobodny wybór. Rozumiem to. Ale chyba jednak nie do końca. **Obudźcie się, proszę!**

PS. Proszę wybaczyć, ale nie mogę sobie odmówić choćby krótkiego komentarza do zamieszczonej na tych łamach informacji Bożeny Kopczyńskiej o nowo powstałej organizacji „Polish Culture NP”. To bardzo dobrze, że jest kolejna placówka poświęcona propagowaniu polskiej kultury, ale...

Autorka pisze:

„[...]*Judało nam się stworzyć w Bibliotece Publicznej OBA Oosterdok pierwszy poważny zbiór polskich książek. Zbiór zawiera zarówno klasykę literatury polskiej jak i polską literaturę najnowszą w języku polskim oraz niderlandzkim. W kolekcji znajdują się beletrystyka i literatura faktu, książki dla dorosłych i dzieci.*”

To cieszy. A jednak coś mnie uwiera, coś nie daje spokoju. Może to ten „pierwszy poważny zbiór książek”? Bo tak się składa, że w Amsterdamie, na Keizersgracht 174, działa od 15-tu już lat (początkowo przy Domu Polskim, a od 7 lat samodzielnie) Biblioteka Polska, w której znaleźć można, może nie „pierwszy”, ale z całą pewnością „poważny zbiór polskich książek”; jest ich tam w tej chwili ponad 5 tysięcy, w tym najwybitniejsze dzieła polskiej literatury przetłumaczone na niderlandzki, dużo nowości oraz naprawdę mnóstwo książek dla dzieci i młodzieży. I nie chodzi tu o to, że Biblioteka Polska boi się konkurencji. Po prostu wydaje mi się, że należałoby oddać cesarzowi co cesarskie.

Co się w Bibliotece Polskiej w Amsterdamie dzieje oraz (wciąż z braku rąk do pracy niepełny) katalog książek można zobaczyć na stronie www.bibliotekapolska.nl – zapraszam. A więcej o jej historii i działalności w kolejnym numerze Kwartalnika. ■



Dwa słowa*



ALEK SILBER

Pielęgniarka powiodła wzrokiem po wą-
tym ciele starca, po pokrytych plamami
dłoniach, po zwiotczących policzkach.
Nie potrafiła określić, dlaczego czuła do nie-
go taką sympatię. Niejedną noc przesiedziała
z umierającymi. Chociaż słuchała ich uważnie
i poznała wiele przejmujących historii, nigdy
nie była tak zaangażowana jak teraz. Czy było
to jego pogodne usposobienie, czy pokora? Nie
potrafiła powiedzieć. Było w nim coś ciepłego.
Niewiele mówił o sobie, nie narzekał, nie ma-
rudził, nie rozpływał się nad swoim życiem.
Kiedy się uśmiechał, a robił to często, w jego
wyblakłych oczach migały iskiarki życia, choć
w tym wieku już trudno o płomień. Momen-
tami łatwo było zapomnieć o jego podeszłym
wieku. Być może on sam o tym zapomniał,
może pod pomarszczoną skórą biło serce mło-
dzieńca. Kiedy wspominał swoje dzieciństwo,
przenosił się w tamten świat, a może go nigdy
nie opuścił.

Spuściła wzrok, na podłodze leżał notes
starca. Podniosła go, rozejrzała się wokoło.
Bzdura, przecież tu nikogo nie było. Przysunę-
ła się bliżej lampki i zaczęła czytać.

*Nie potrafimy żyć, życie nam po prostu nie
służy...*

Pod spodem widniało niewyraźnie napisa-
ne nazwisko autora cytatu, ale nie mogła go
odszyfrować. Czytała dalej.

*I czemu się dziwić. Ani świat, ani człowiek nie
został stworzony dla ludzkiego szczęścia. Prze-
ciwnie. Bo zwązamy.*

*Człowiek, żeby być szczęśliwym, musi być
zdrowy i syty, być bezpieczny i wolny, musi
spełniać siebie, być potrzebnym i uznanym,
znajdować zadowolenie w tym, co robi. Potrze-
buje przyjaciół i bliskich. Najlepiej być młodym,
kochać i być kochanym, mieć marzenia, które
można spełniać, i najważniejsze — posiadać
geny szczęścia. Słowem: długa lista warunków
„I”.*

*Natomiast do nieszczęścia wystarczy jedna
przyczyna — choroba, bieda, głód, wypadek,
nieszczęście bliskiego, niewola, choroba, ka-
lectwo, kataklizm, odrzucenie w miłości, sa-
motność lub braku genu szczęścia... Słowem:
wystarczy jeden element. Bo nieszczęście jest
funkcją „lub”. Oto pierwsza asymetria.*

*Łatwo jest burzyć, znacznie trudniej bu-
dować. Miasto buduje się dziesiątki, setki
lat; wystarczy chwila, by runęło w gruzach.
Podobnie ludzkie relacje, zdrowie, majątek,
szczęście...*

*Gnębą nas powodzie, susze, trzęsienia ziemi,
wulkany, huragany, niszczące plagi — cały arse-
nał apokaliptycznych sił. Nie ma w przyrodzie
zjawiska, które by przynosiło porównywalne
siły o przeciwnym, pozytywnym wektorze, bu-
dujące. Znowu asymetria.*

*Nie ma pozytywnego odpowiednika choroby
ani bólu. Zdrowa osoba nie budzi się pewnego
ranka jeszcze zdrowsza. Nie istnieje pozytywny
ekwiwalent bólu, nie znamy zjawiska, które by
nas ot tak, znikąd „uskrzydlało ogromną rado-
ścią”.*

Pielęgniarka przerwała i spojrzała na mo-
nitor. Wykres wyrównał się, na twarz śpiącego
powrócił spokój. Wypiła szklankę wody.

— Nie istnieje pozytywny ekwiwalent bólu
— powtórzyła szeptem.

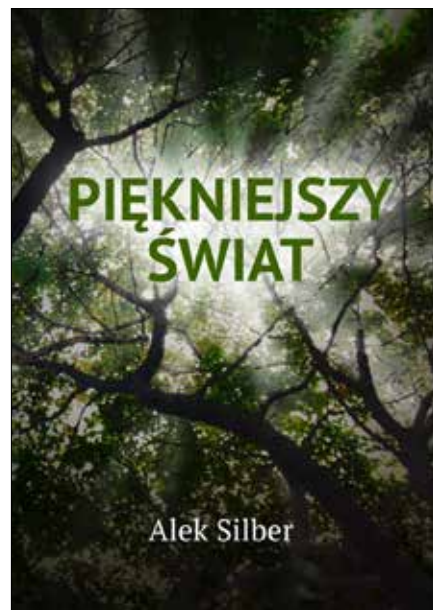
*Spragnieni umieramy, głodni konamy na naj-
niższym progu nieszczęścia. Ale gdy jesteśmy syci,
kiedy mamy pod dostatkiem wody, czy nas to
cieszy? Nie mówiąc o równoważnym szczęściu,
czy chociaż zauważamy brak niedostatku? Czy
w każdej sekundzie pamiętamy, że nie boli nas
ząb, stawy, że nie jesteśmy głodni, że nie mamy
raka, kamieni, cukrzyicy ani tysiąca innych do-
legliwości? Ale wystarczy tylko jedna z nich, by
cierpieć przez każdy ułamek sekundy, by wtrącić
nas w otchłań piekiel. Brak jakichkolwiek z nich
nie czyni nas szczęśliwymi. Kolejny brak symetrii.*

*Jesteśmy złożeni, poplątani, nie rozumiemy
siebie, a cóż dopiero innych. Gnani instynktem
przyrody wchodzimy w relacje, które niszczą
nas i najbliższych, bijemy lub jesteśmy bici, ucie-
kamy lub gonimy. Usiłujemy budować rodziny,
związki poniekąd wbrew naturze, bo między
kobietą i mężczyzną istnieje przepaść niekom-
patybilności. Nie z naszej winy.*

*Padamy ofiarą niewiedzy i żałosnej nieudol-
ności. Jesteśmy postawieni pomiędzy sprzeczno-
ściami, siłami, których nie rozumiemy i którym
nie potrafimy stawić czoła. Stoimy w niezręcz-
nym rozkroku między przyrodą, której jesteśmy
częścią, a moralnością, którą posiadamy jako
jedyny gatunek w naturze.*

*Jako istoty myślące dążymy do optymalnych
rozwiązań; chcemy, by nie było ani za gorąco,
ani za zimno, żeby było dosyć słońca i deszczu.
A natura i wszechświat nie są ani dobre, ani złe,
potrafią być zimne i gorące, zalane powodzią
i spalone słońcem. My, wbrew naturze, pragniemy
wszystko nagiąć na swoją optymalną modłę.*

*Wchodzimy w życie kompletnie nieprzygo-
towani. Uczymy się na bolesnych błędach, ale
zazwyczaj jest już za późno albo nie uczymy się
nigdy. Przegrzujemy najwięcej stawkę, jaką
posiadamy — własne życie.*



*Obdarzeni jesteśmy cechami, od których nie
ma ucieczki, od których nie potrafimy się wy-
zwolnić. Są one tak złośliwie stworzone, że w ten
lub inny sposób prowadzą nas do samozagłady,
samounicestwienia, bo jak mówi stara księga:
człowiek sam dąży do własnej zguby.*

*Nie potrafimy się porozumiewać, jesteśmy
głusi na krzyk sąsiada, tak jak on nie słyszy, nie
chce, nie potrafi usłyszeć naszego krzyku. Brniemy
samotnie przez życie. Chyba że rozmawiamy
z Bogiem, ale ten zwykle milczy. Więc płac-
zemy do poduszki.*

*Nic dziwnego, że na każde szczęście przypada
tysiąc nieszczęść, nie da się wygrać walki z mor-
derczą i niezłomną statystyką. Liczby i fakty są
przeciwko nam aż do ostatecznych stu procent
— wszyscy, którzy się urodzili... muszą kiedyś
umrzeć.*

*Człowiek wiedział to wszystko od dawna.
Z doświadczeń swoich i innych. I jakby nie star-
czało mu na to dowodów, teraz nauka potwier-
dza jego najgorsze obawy. Bo oto najstarsza,
prymitywna część mózgu zajmuje się wszystkim,
co negatywne — strachem, obawą, smutkiem.
Większość naszych odruchów i impulsów reaguje
na te właśnie bodźce. Młodsza, mniej rozwinięta
część mózgu odbiera sygnały pozytywne. Tak je-
steśmy stworzeni.*

*Jakże więc uwierzyć w nieskończoną dobroć
Stwórcy? To raczej potworna złośliwość, a może
wręcz złość, kara dla tych, którzy byli i będą.
Kara bez winy, porządek świata skazujący
a priori... Głęboki pokłon Józefowi K. Biedny Sy-
zyf Camusa próbuje się bronić, krzycząc w ostat-
nim swym tchmieniu słowami autora: „Musimy
uwierzyć, że Syzyf jest szczęśliwy”. Trzeba tu
wiary silniejszej niż stworzenie, a to dużo.*

*Trzeba było iście szatańskiego zamysłu,
szkaradnego zamiaru i głębokiej nienawiści do
człowieka, by wymyślić tak rażącą asymetrię.
Przecież to monumentalna struktura, niczym
najpotworniejsza armata skierowana przeciw-
ko całemu gatunkowi ludzkiemu.*

Więc jaką mamy szansę w zmaganiu z porządkiem świata, który jest przeciwko nam? Przynajmniej przeciwko niektórym z nas, prawdopodobnie przeciwko większości. Bo przecież wszystkie mądre księgi mówią o grzechu pierworodnym, wygnaniu z raju, o karze boskiej, puszcze Pandory, micie Syzyfa, o czekaniu na Godota, o absurdzie egzystencji. Od Ulissesa do Hamleta, od Don Kichota do Józefa K., Ikara, Fausta, Raskolnikowa... Wszystkie religie, mity i legendy o tym mówią. A my, niepoprawni marzyciele, próbujemy wbrew prawom fizyki, wbrew porządkowi natury, wbrew prawom świata... Czasem nam się udaje, ale wielu pada twarzą w błoto, szlochając... i bije pięściami w obmierzłe kamienie...

Pielegniarka poczuła ścisk w gardle i wy pieki na twarzy. Starzec oddychał regularnie, tylko momentami drgała mu lekko powieka. Po co to pisał i dla kogo? Jak z takimi myślami przeszedł przez życie? I skąd ten pogodny nastrój? Już nieraz rozmawiała z umierającymi, niejedną słyszała historię, ale ciągle nie przedstawiała się dziwić. Jakież piekło kłębiło się pod tą pogodną twarzą. Ile musiał doświadczyć i przeżyć, aby dojść do tak ponurych wniosków. I choć może była w nich jakaś prawda, to dla niej była to prawda abstrakcyjna, nie z jej świata. Jej życie było pogodne, jeśli nawet bywały problemy, bo przecież tych nie da się

uniknąć, to nigdy nie nabierały monumentalnych rozmiarów.

Może według teorii starca posiadała ów gen szczęścia, a może była po prostu optymistką? Zresztą grzeszyłaby, narzekając, zwłaszcza teraz, kiedy wszystko w jej w życiu się układało. Była młoda, zdrowa, właściwie teraz ruszała w życie. Miała świetną pracę, która przynosiła jej wiele zadowolenia i satysfakcji. Ludzka wdzięczność, której doznawała tak wiele, była niewymierna w żadnym innych kategoriach. Lubiła ludziom pomagać, sprawiała jej to autentyczną radość. Doznawała niezwykłego uczucia na widok wyleczonego pacjenta, chociaż nieraz musiała ich żegnać w przeciwnym kierunku...

Jednocześnie miała świadomość faktu, że będąc wystawiona na ludzkie cierpienie, w jakimś stopniu to wykorzystywała. Bo kiedy zrzuciła białe fartuch i wychodziła ze szpitala do świata ludzi zdrowych, to bardziej intensywnie czuła jego piękno i doceniała skarb normalnego, zdrowego życia. Uwielbiała patrzeć na swojego chłopca: był muskularny, świetnie zbudowany. Znając ludzką anatomię oraz liczne schorzenia i tak powszechne wady budowy, jeszcze bardziej doceniała piękno ludzkiego, zwłaszcza męskiego ciała.

Uwielbiała dotykać Janka, nie tylko dlatego, że był jej miłością, ale ze zwykłego

zachwytu nad jego doskonałością. On nie mógł wyjść z podziwu, że jej się to nigdy nie nudzi, jakby go codziennie odkrywała na nowo. Usłyszawszy tak wiele ludzkich historii, miała dodatkowy atut, gdyż potrafiła się cieszyć chwilami szczęścia z całą świadomością ich wartości. Jednocześnie nie martwiła się ich kruchością i przemijaniem; mogłaby, ale jakoś tego nie czuła. Dla niej radość, choć może nie była stanem trwałym, nie była jednak czymś efemerycznym — miała ją na dzisiaj, na jutro i na przyszły rok... I właściwie nigdy się nad tym nie zastanawiała. Dopiero te kartki pobudziły ją do refleksji. Analizowanie siebie i życia nie było jej domeną, ona cieszyła się każdym dniem, nawet jeśli to było wbrew zamysłowi Stwórcy.

Jej Bóg nie był ani zły, ani złośliwy — przeciwnie, był Twórcą piękną i radości. Świat, który stworzył, był największym darem dla człowieka. Pamiętała o tym i dziękowała za to każdym swoim uśmiechem. I mimo całej logiki wywodów starca nie potrafiła zrozumieć, jak można to widzieć inaczej. Chciałaby go o tym przekonać, żeby chociaż teraz w to uwierzył.

* fragment z książki „Piękniejszy świat” https://ridero.eu/pl/books/piekniejszy_swiat/

Grażyna Barszczewska – pół wieku na scenie. Gratulacje!

"To jest sukces, że trwam i mogę wyrażać to, co jest moją pasją"



Aktorka teatralna i filmowa o zaskakująco szerokim i wszechstronnym repertuarze (od lirycznych amantek po charakterystyczne „monstra”). „Amantka z pieprzem” – jak nazwał ją jeden z wybit-

nych reżyserów filmowych. Ma w swoim dorobku ponad 150 wiodących ról dramatycznych i komediowych w teatrze, filmie i telewizji, występy w Kabarecie Dudek i na estradzie, recitale piosenek, nagrane płyty. Jej charakterystyczny, intrygujący głos znają także słuchacze audycji Polskiego Radia.

Ukończyła PWST w Krakowie. Od 1983r. związana z zespołem Teatru Polskiego w Warszawie.

Poza macierzystym Teatrem Polskim występuje gościnnie na innych scenach warszawskich (Roma, Ateneum, Komedia, Kwadrat, Nowy), a także pozastołecznych (Kraków, Kalisz, Tarnów, Wrocław).

Kilkakrotnie była gościem Sceny Polskiej w Holandii. Pierwszy raz 30 lat temu! Wystąpiła z Małgorzatą Pritulak w sztuce „Engagement”. Potem gościła z recitalem „Kobieta ach”, a ostatnio wystąpiła z Grzegorzem Damięckim w sztuce „Sceny niemalże małżeńskie”. Czekamy na kolejne kreacje aktorskie i występy w Holandii! **ZSCZ**



Kalina i jej legendy

Film nosi tytuł „Bo we mnie jest seks” i – jak można się domyślić, wszak tytuł pochodzi z przebojowej piosenki – opowiada o Kalinie Jędrusik, wielkiej polskiej gwiazdzie, a raczej wyjątkowym zjawisku, lat sześćdziesiątych. Nie jest to jednak filmowa biografia, zaraz po tytule pojawia się tablica, wyjaśniająca, że opisywane zdarzenia mogły – choć wcale nie musiały – wydarzyć się naprawdę.

Z bogatej kariery aktorki i piosenkarki – pełnej wzlotów i upadków, radości i smutków (a także osobistych tragedii) – twórcy, a właściwie twórczynie – scenariusz, reżyseria i zdjęcia są dziełem kobiet – wybrali jeden zaledwie epizod. Epizod wręcz legendarny, tu jednak rozpisany na wiele wątków w taki sposób, by zatrzeć, co było w nim prawdą, a co legendą. Otóż, na początku lat 60. rozeszła się wiadomość, że I sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka, znany z zamiłowania do wszelkiej ascezy, oglądał w telewizji Kabaret Starszych Panów, intelektualny kabaret Jeremiego Przybory i Jerzego Wasowskiego. Kalina Jędrusik kreowała w nim rolę śpiewającej Jesiennej Dziewczyny – nostalgicznego obiektu westchnień obu prowadzących program. Jak w każdym programie Kabaretu, także i w tym Jędrusik śpiewała, a kamera błędziła po jej filigranowej sylwetce w czarnej sukni. Zwieńczeniem sukni był dekolt, eksponujący bujny biust aktorki i złoty krzyżyk wiszący nad jej piersiami. Legenda głosi, że zniesmaczony Gomułka cisnął czymś w telewizor i nakazał usunięcie Jędrusik z wizji, a jego polecenie skrupulatnie wykonano. Dla aktorki, która nie miała stałego etatu w teatrze, i dla piosenkarki, która nie wydała ani jednej płyty (mimo około stu piosenek w repertuarze) był to poważny cios, odcięcie od dochodów.

Na szczęście, przerwa nie trwała długo. Podobno Jeremi Przybora miał zagrożić przerwaniem tworzenia Kabaretu, który ze względu na swój specyficzny charakter stał się wizytówką Telewizji (niby proletariackiej, a przecież oferującej program stawiający przed widzami spore wymagania intelektualne), więc za sprawą ówczesnego szefa Radiokomitetu, Włodzimierza Sokorskiego, udało się przekonać Gomułkę, by cofnął anatę.

Inna wersja tej legendy głosi, że poszło nie tyle o Kabaret Starszych Panów i Gomułkę, ile o koncert barbórkowy w 1962 roku i Zenona Kliszkę, głównego ideologa PZPR (odpowiedzialnego, między innymi, za zdjęcie „Dziadów” Kazimierza Dejmka w 1968 roku). Na transmitowanym przez Telewizję koncercie wystąpiła czołówka polskiej estrady w stanie wskazującym na spożycie, co podobno widać było z widowni, jak i z ekranu telewizora. Komentarz wydarzenie w partyjnych kuluarach

Kliszko miał, używając niewybrednych słów, zaatakować Jędrusik, która pod koniec występu omal nie straciła równowagi.

Z kolei autorki filmu „Bo we mnie jest seks” sugerują, że usunięcie aktorki z Telewizji było aktem zemsty jednego z telewizyjnych szefów, urażonego tym, że Kalina Jędrusik odrzuciła jego zaloty. W przeciwieństwie do innych osób z otoczenia artystki, jego prawdziwe nazwisko z ekranu nie pada, ale każdy, kto orientuje się w dziejach Telewizji tamtych lat może skojarzyć, jaki to aktor w latach 60. został jednym z szefów redakcji rozrywki.

Najciekawsze jednak wydaje się to, że każda z powyższych wersji jest prawdopodobna. Ale czy prawdziwa?

Kalina Jędrusik skończyła szkołę teatralną w Krakowie w doborowym towarzystwie: razem ze Zbigniewem Cybulskim i Bogumiłem Kobiela i razem z nimi przyjęła zaproszenie Lidii Zamkow do Teatru Wybrzeże w Gdańsku. Przez jakiś czas mówiło się, że kierownictwo literackie tej sceny obejmie pisarz Stanisław Dygat, którego ówczesna żona, Władysława Nawrocka, była w zespole teatru. Kiedy jednak Dygat poznał Kalinę Jędrusik, porzucił dla niej żonę i sprowadził wybrankę do Warszawy, by po rozwodzie zamieszkać z nią (i była żoną) w jednym mieszkaniu. Mimo ślubu w 1958 roku małżonkowie prowadzili związek otwarty, co miało związek zarówno z trybem życia pary, jak i z reperkusjami problemów aktorki z donoszeniem ciąży.

Stanisław Dygat, autor „Jeziora Bodeńskiego” i „Disneylandu”, zajmował w polskim życiu literackim poczesne miejsce, jakkolwiek nie był hołubiony przez władze. Miał też dość specyficzny sposób bycia: szybko się nudził, rzadko sięgał po pióro, a swą obecność zaznaczał głównie pielęgnowaniem artystycznych przyjaźni (m. in. z Tadeuszem Konwickim, Gustawem Holoubkiem czy Januszem Morgensternem), w ten sposób omijając dotkliwą opresję systemu, w jakim przyszło mu żyć.

Kalina Jędrusik rzadko bywała związana z jakąś sceną zawodową, częściej przyjmując propozycje zagrania ról gościnnie. Z około 30 ról teatralnych i kolejnych 30 w Teatrze Telewizji warto zapamiętać ledwie kilka, w tym na pewno Polly w „Operze za trzy grosze” Bertolda Brechta, wystawionej przez Konrada Swinarskiego w Teatrze Współczesnym i Teatrze TVP, Holly Golightly w „Śniadaniu u Tiffany’ego” Trumana Capote w Teatrze Komedia czy Eleonory w „Tangu” Sławomira Mrożka w reżyserii Kazimierza Dejmka w stołecznym Teatrze Polskim. Z kolejnych ponad 30 ról filmowych zapadły w pamięć kreacje z „Lekarstwa na miłość” Jana Batorego (jedyna rola główna), „Jowity” Janusza Morgensterna (ekranizacja „Disneylandu” Dygata, gdzie partnerowała



Zbigniewowi Cybulskiemu) oraz Zuckerowej z „Ziemi obiecanej” Andrzeja Wajdy. W tym ostatnim filmie zagrała właściwie siebie – kobietę zachłanną na życie, szukającą swojego wyzwolenia, urzeczoną własną cielesnością. Do historii filmu polskiego przeszły jej sceny erotyczne z Danielem Olbrychskim – tak sugestywne, że Wajda wyciął je ze swojej wersji reżyserskiej (tłumacząc potem, że wobec zarzutów antysemickości – już powieść Reymonta spotykała się z takimi oskarżeniami – nie chciał przedstawiać bohaterki, Żydówki, w negatywnym świetle). Na osobną uwagę zasługuje jej kreacja w zrealizowanym w NRD serialu „Hotel Polanów i jego goście”, gdzie zagrała żydowską właścicielkę hotelu w Kudowie Zdroju w pierwszych trzech dekadach XX wieku – kobietę władczą, jakkolwiek o gołęmbim sercu, z godnością znoszącą przeciwności losu.

Gdy spojrzeć na losy Kaliny Jędrusik z perspektywy 30 lat, jakie mijają od jej śmierci (zmarła w sierpniu 1991 roku), dostrzec można kolorowego ptaka, miotającego się w klatce, zbudowanej przez system, obowiązujący w PRL. Swoją niszę znalazła w związku z Dygatem, w poetyckim Kabarecie Starszych Panów i rozlicznych romansach, o których hucała cała Warszawa. Co było prawdą w opowieściach o niej, a co zawistną plotką – dziś już nie wiadomo. Pozostaje tylko jedno: przejmujące odczucie niespełnienia. Dla męża była polską Marilyn Monroe, czy byłaby nią dla świata, gdyby urodziła się w innym miejscu lub innym czasie?

Każda opowieść o wielkiej artystce musi mieć swoją puentę. Ma ją też historia Kaliny Jędrusik. Kiedy wróciła do Kabaretu Starszych Panów, w kolejnym programie zaśpiewała piosenkę „Bo we mnie jest seks”. Na ekranie telewizorów można było zobaczyć Kalinę Jędrusik zapiętą po szyję, uwodzicielsko podającą słowa kuszącego tekstu. Ale kiedy muzyka zamilkła, aktorka odwróciła się do kamery plecami. I wtedy publiczność oniemiała: dekolt z tyłu sięgał aż do końca pleców. A między łopatkami lśnił złoty krzyżyk.

KONRAD J. ZARĘBSKI

NAJCIEKAWSZE SĄ KULISY

Docent Doświadczalski



JACEK KAŁUCKI

Zapewne wielu z Państwa w latach 80 i 90-tych oglądało Docenta Doświadczalskiego, bawiąc się przy jego „figlach-miglach”. Zatem dzisiejsze „KULISY”, będą zarazem... chwilą wspomnień.

Twórcy programu „Wyprawy profesora Ciekawskiego”: Andrzej Marek Grabowski, wspólnie z realizatorem Andrzejem Dźwierżyńskim mieli duże doświadczenie, gdyż wcześniej pracowali przy dziecięcym hicie telewizyjnym, jakim był „Tik-Tak” i właśnie „Wyprawy...” miały go wkrótce zastąpić. Grabowski poza tym, że pisał scenariusze, odgrywał tytułowego „Profesora”, a ja kreowałem jego zwariowanego antagonistę. Oglądalność programu była wszelkie rekordy. Sporym minusem całego przedsięwzięcia było honorarium. Dziadostwo to mało powiedziane! Kiedyś postanowiłem nie brać pieniędzy i kazałem je przekazać na cel charytatywny. Zadzwoniła do mnie księgowa:

– Panie Jacku, musi pan wziąć tę wypłatę bo inaczej nie „zamknę odcinka”. Jak pan chce być darczyńcą, to nich pan pobierze gażę a później indywidualnie przekazuje ją tam, gdzie pan zechce.

– Czy Pani nie rozumie, że ja umyślnie chcę utrudnić życie prezesom, aby zrozumieli, że nasze wynagrodzenie jest na granicy wyzysku?

– Panie Jacusiu ja to rozumiem, tyle tylko, że życie utrudnia pan mnie, a nie im.

Jak wspomniałem na wstępie grałem „Docenta Doświadczalskiego”, który przez dzieciaki był bardzo lubiany, ale przez nieliczną grupę – nieco mniej. W kontekście moich odlotowych

pomysłów i podkradaniu wynalazków profesora, tytuł naukowy jaki posiadała moja postać, był dla niektórych solą w oku. Przychodziły w tej sprawie listy do redakcji – serio! Prawdopodobnie tylko od tych, którzy w pamiętnym marcu otrzymali taką nominację, a zwani byli „docentami marcowymi” – inaczej tego nie mogę sobie wytłumaczyć. Niektórzy decydenci w postaci „Doświadczalskiego” znaleźli elementy szyderstwa i kpiny z nich samych(?) – „uderz w stół a nożyce same się odezwą”. Mnie coś takiego, do głowy by nie przyszło. Po interwencji „kogoś tam”, zostałem przez kierownictwo zdegradowany. Nie byłem już „Docentem”, tylko po prostu: „Doświadczalskim”.

Głównie ze względu na warunki finansowe i czas jaki poświęcałem programowi, postanowiłem z dalszej współpracy zrezygnować. Wtedy jeden z kolegów który od dłuższego czasu pracował w tym programie, powiedział:

– Jacek nie bądź głupi! Nie rezygnuj. Przecież pieniądze które zarabiasz w telewizji, będą jedynie dodatkiem do twojej gaży. Potraktuj te programy jako promocję swojej gęby. Nie jesteś pracownikiem TVP. Uprawiasz wolny zawód. Pojedź z nami na

występy do Sopotu, a sam zobaczysz ile da ci to satysfakcji nie tylko finansowej. Zrobisz zastępstwo za Krzyśka Tyńca – „Pana Fasole”. Przygotuj jakąś piosenkę, wiersz, może monolog. Jedziemy za trzy tygodnie.

Akurat tak się złożyło, że w teatrze byłem wolny i pojechałem. Nie zdawałem sobie sprawy i przez myśl mi nie przeszło, że byłem taką Gwiazdą! Moja sztandarowa piosenka: „Cha, cha, cha to przecież ja, czerwony frak mnie każdy zna, ja jestem słynny Doświadczalski..!” znana i śpiewana była przez wszystkich. Przygotowałem sobie dwudziestominutowy show i byłem zapraszany jako „gwóźdź programu” do różnych składanek.

Jechałem pociągiem do Słupska. Nie było miejsc w slipingu więc kupiłem pierwszą klasę. Chciałem się przespać, gdyż byłem zmęczony po wieczornym spektaklu w teatrze. W przedziale siedziało sympatyczne małżeństwo, niestety z... dwójką dzieci! Po krótkiej chwili jedno miałem już na plecach, a drugie na kolanach:

– Wujku zaśpiewaj nam cha, cha, cha to przecież ja...prosimy!

Rodzice widząc, że mam tak wspaniałe relacje z ich dziećmi zaproponowali:

– Pozwoli pan, że pójdziemy z żoną do Warszawy i zostawimy pod opiekę nasze pociechy. Może coś panu przynieść?

Myślałem, że bachory uduśzę, a uprzejmych rodziców wyrzucę z pociągu. Byłem ledwo żywy. Przynależem przed samym Słupskiem. Z powrotem jechałem już slipingiem!

Kiedyś zaproszony byłem do Rzeszowa. Pojechałem już wtedy swoim samochodem, gdyż było „bezpłatnie”. Popularny duet wokalny Barbara i Maria Winiarskie, które także brały udział w tej imprezie śpieszyły się do domu. Pociąg miały niestety za trzy godziny:

– Czy możemy się z „Docentem Doświadczalskim” zabrać do Warszawy?

– Pod warunkiem, że będziecie mi całą drogę śpiewały.

I właśnie w tej podróży z Rzeszowa, zrodził się pomysł założenia kabaretu dla dzieci i młodzieży. Dokooptowaliśmy jeszcze Jacka Czyżę i tak powstał działający przez ponad dwanaście lat kabaret „Figlik”.





Traktowaliśmy naszego młodego widza poważnie. Wiedzieliśmy że dzieciaki miały dosyć infantylnych bajeczek „o siedmiu zbrojach”! Nasza forma artystyczna trafiała do nich bardziej, gdyż zabawy, radości, uśmiechu, braw i propozycji było z czasem coraz więcej. Zawsze stawialiśmy na jakość, nigdy na ilość. Czasami mieliśmy propozycję zagrania pięciu i sześciu spektakli dziennie – odmawialiśmy. Zdawaliśmy sobie sprawę, że ze względu na zmęczenie, trącić to będzie chałturą w najgorszym tego słowa znaczeniu.

Na własnej skórze przekonałem się, że najtrudniejszą i najbardziej wymagającą widownią jest publiczność dziecięca. Jej oszukać się nie da. Trzeba było także być czujnym i dysponować dużym refleksem. Mieliśmy taki skecz w którym uczestniczyło dziecko zaproszone z widowni. Chłopczyk miał wymienić co Czerwony Kapturek niósł w koszyczku dla babci. Zaczął od spirytusu! „Wicus” czyli Jacek Czyż wyjaśnił natychmiast, że owy specyfik z pewnością służył do nacierania spracowanych, babcinych mięśni. A dzieciak na to:

- Do żadnego nacierania, tylko do picia!
- Jak to, spirytus do picia? Niemożliwe.
- Dziwił się „Wicus”.
- Tak. Ze sockiem.

Innym razem kiedy jakaś dziewczynka miała odpowiedzieć na pytanie dlaczego babcia miała takie duże uszy, rzekła:

- Bo pewnie była babcią Urbana.

Nasze Winiarskie siostrzyczki były niesamowite! Baśka była kawalarką, gustującą w dowcipie „hardkorowym”, któ-

rą wciąż nosiło. Wymyślała niesamowite opowieści i zadawała trudne pytania:

- Jacek, jakby przyszedł do ciebie esesman, przystawiłby pistolet do głowy i musiałbyś wybrać kogo ma zastrzelić Agatę (żonę) czy Jaśka (syna), to kogo byś wybrał?

Maryśka natomiast poukładana, konkretna, obowiązkowa i czasami niebywale upierdliwa – do łez! Paliła dowcipy, co świadczyło tylko o jednym: była stu procentową babą! Kiedyś wracaliśmy już do Warszawy. Noc. Cholernie zmęczeni bo za sobą mieliśmy cztery spektakle na Śląsku. Ja za kierownicą. Aby nie usnął, przyjaciele zabawiali mnie jak mogli. Dziewczyny śpiewały jakieś sprośne przeróbki hitów, a Jacek opowiadał dowcipy. Nagle „Czyżu” zapadał anegdotek, która sprawiła, że mało nie wpadłem w poślizg na suchej nawierzchni:

- Budzi się facet rano i widzi że cała jego pościel jest zakrwawiona. Patrzy a przy łóżku stoją ranne pantofle!

Na drugi dzień jechaliśmy na kolejne występy. Maryśka była nie w sosie. Pokłóciła się z mężem Wiktorem Zborowskim:

- O coście się pozarli? – Zapytałem.
- A bo to jakie wielkie, takie durne! Wczoraj kiedy wróciłam do domu (3 w nocy!) chciałam jak najszybciej opowiedzieć mu ten dowcip o facecie w łóżku. Bałam się, że rano zapomnę.

- I zbudziłaś go?

– Trochę tak. A ten jełop nie wiedział o co mi chodzi i bełkotał żebym się kładła spać i pierdół nie opowiadała, bo chyba pijana jestem.

Coś podejrzewałem i zapytałem:

- A jak mu ten żart opowiedziałaś?
- No jak to jak? Facet się budzi, pościel zakrwawiona, a przy łóżku stoją bambosze!

Pod względem palenia żartów, dziewczynki były podobne. Kiedyś Basi sprzedałem żart o facecie który wszedł do domu, wykręcił sobie oczy i wieszając je na wieszaku powiedział: Oczywiście!

Basia opowiadając go z kolei swojemu mężowi – Pawłowi Wawrzeckiemu, powiedziała wprawdzie jak należało, tylko na końcu spuentowała: Naturalnie!

Objechaliśmy z naszym kabaretem Polskę wzdłuż i w szerz. Graliśmy w wielkich salach takich jak katowicki „Spodek” czy Hala Ludowa (obecnie Hala Stulecia) we Wrocławiu. Zaliczyliśmy większość polskich amfiteatrów z sopockim na czele. Prezentowaliśmy się w salach teatralnych i Domach Kultury. Występowaliśmy także w remizach i miejscach gdzie „diabeł mówił dobranoc”, a garderobę mieliśmy w toalecie. Graliśmy na stadionach i na platformach, zawsze traktując widza z takim samym szacunkiem.

W 1991 roku byliśmy zaproszeni przez ambasadę Polską w Wiedniu na jeden spektakl dla dzieci tamtejszych pracowników i Polonii. Poleciliśmy.

Po przedstawieniu wraz z organizatorami poszliśmy do pobliskiej restauracji na kolację. Kiedy wracałem z ubikacji do swojego stolika, zobaczyłem, że za mną od szatni, biegnie jakiś sędziwy, acz żwawy jegomość, który coś mówił i wymachiwał rękoma. Przyspieszyłem kroku. Pomyślałem, że pewnie chodzi o niezapłaconą toaletę – ale powiedziano mi, że jest gratis. Kiedy już dochodziłem na miejsce mój prześladowca złapał mnie za rękę:

- Ależ pan biegnie. Z reguły to do wygódki idzie się w takim tempie, a nie po wyjściu z niej.

Okazało się, że był to ambasador prof. Władysław Bartoszewski! Znalazł chwilkę czasu, aby chociaż przywitać się z nami i podziękować za spektakl. Było to jedno z najwspanialszych 15 minut w moim życiu. Tyle bowiem czasu pan profesor mógł nam poświęcić. Tak uroczego człowieka, z takim wigorem i poczuciem humoru, nigdy wcześniej ani później nie poznałem.

Dzisiaj czasami spotykam się z dorosłymi już ludźmi, którzy wychowali się na moich figlach. Ostatnio kasjerka w banku uśmiechając się powiedziała:

- Podpis to się panu niewiele zmienił. Mam pana autograf... panie Jacku – „Dolicencie Doświadczalski”.

Tradycyjnie ściskam Was moje kochane Polonusy i do zobaczenia. ■

Dziennikarska lekcja. Temat: wywiad

O muzyce z Krzesimirem Dębskim

90. rocznica urodzin Ryszarda Kapuścińskiego (4 marca 2022 r.) to dobra okazja, by wrócić do Izabelina, z którym ten wybitny dziennikarz był szczególnie związany. To tu, w pobliskim Sierakowie, znalazł schronienie w latach wojny jako mały uchodźca z Pińska (dziś białoruskiego), wracał tu wielokrotnie, by – po latach – właśnie w Izabelinie kończyć „Podróże z Herodotem”, jedną ze swoich najważniejszych książek.

W Izabelinie, działająca przy Wydziale Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii Uniwersytetu Warszawskiego Fundacja Centrum Badań i Edukacji im. Ryszarda Kapuścińskiego, organizuje od kilku lat festiwal reportażu pod hasłem Natura-Kultura-Media. Studenci zapraszają twórców najciekawszych filmów dokumentalnych i autorów książek reporterskich, przybliżają ich sylwetki, rozmawiają z nimi. Oczywiście, nie samym reportażem festiwal stoi. W tym roku wśród gości był Krzesimir Dębski ze swoim zespołem Primuz.

Trwa projekcja filmowa, do koncertu zostało około godziny. Dębski przechadza się po korytarzu, trochę znużony oczekiwaniem. Przyjechali z zespołem kilka godzin wcześniej, zrobili próbę nagłośnienia. Izabelin wieczorem o tej porze roku raczej nie obfituje w atrakcje, a do Warszawy na krótki wypad trochę daleko. Studenci

dziennikarstwa, pracujący przy festiwalu, także nie kryją znużenia. Ale przecież nie może być tak, że popularny muzyk i kompozytor będzie się bez celu mijać na korytarzu z adeptami dziennikarstwa. Zgarniam gromadkę i wpraszamy się do garderoby Dębskiego. Aranżuję rozmowę, po chwili młodzi dołączają się ze swoimi pytaniami.

Zaczynają się – Ćwiczenia z wywiadu:

Skąd się wzięła muzyka?

Muzyka była tworzona intuicyjnie już u zarania ludzkości. Według Darwina, wzięła się z pracy: ludzie, pracując wspólnie, synchronizowali swój wysiłek, używając do tego rytmów albo głosów. Naturalnym wynikiem wysiłku są stęknienia. Później te stęknienia zaczęły przybierać formę artystyczną, odświętną – podobnie jak słownictwo. A sama muzyka? Istnieje teoria, że została wymyślona jednocześnie z pismem, poezją i skandowaniem. A, jak wiadomo, poezję starogrecką skandowano. Myślę, że z tego właśnie narodziła się pierwsza muzyka. W pewnej chwili, Tales z Miletu i Pitagoras wyskalowali rzeczywistość. Zaczęto mierzyć rzeczy dookoła nas, stworzono jednostki miary i wagi. Stworzono również skale muzyczne, złożone z całych tonów i półtonów. W zależności od tego, jakie są proporcje, różne skale mają różne funkcje. Jedne służyły do wyrażania radości, a inne do manife-

stowania smutku. W starożytności muzyka była monodyczna, czyli składała się z jednego głosu. Później jednak uznano, że współbrzmienie wielu głosów również może działać.

Byłem kiedyś wśród Masajów w Afryce. Wścibsko dołączyłem do ich tańca liturgicznego. Ich śpiewy były w zasadzie dziwnymi rechotami i chrząkaniami. Stałem przy jednym z nich i, myśląc, że to ich muzyka, też zacząłem wykonywać takie dźwięki. Mężczyzna, który stał przy mnie, był zdumiony! Złapał oszczep i chciał mnie nim dźgnąć! Domyśliłem się wtedy, że był to jego osobisty kod. Każdy miał swój własny charakter, który łączył się we wspólną muzykę. My mamy chóry, w których wszyscy śpiewają to samo, a tam był indywidualizm. Chociaż mają znacznie mniej harmonii, w rytmice są zdecydowanie bardziej zaawansowani.

A skąd się wziął pański kod? Z Kresów czy już z Wielkopolski?

Z Kresów pewnie najwięcej, ale sam nie wiem. Moja rodzina pochodziła ze wschodu, z Kresów, ale babcia wywodziła się aż spod Kaukazu. Kiedyś słyszałem w radiu audycję z muzyką narodów kaukaskich. To brzmiało bardzo znajomo. Gdy byłem mały, wszyscy mówili mi, że ciągle wyję, a ja przecież wykonywałem wtedy swoiste jodłowanie. Dopiero jako dorosły usłyszałem to, co od dziecka robiłem. Kaukazo- wie właśnie tak jodłowali, to był ich śpiew. Czy to jest kod genetyczny, czy jakaś indywidualna wariacka aberracja? (śmiech) Zastanawia mnie to do tej pory. Będę musiał tam pojechać. Swoją drogą, to niesamowite, że różnimy się między sobą, mamy różne zdolności i różne inklinacje, ale podobny wzorzec brzmienia.

W trakcie naszego koncertu wróci pan do Kresów.

Tak, zaprezentujemy z zespołem utwory filmowe. Generalnie nie wiem, dlaczego zostałem wybrany do pisania kresowej muzyki do filmów, takich jak „Ogniem i mieczem” czy „Syberia polska”. Reżyser nie wiedział, że jeżdżę konno i jestem z Kresów. Napatoczyłem się – i okazało się, że nawet się do tego nadaję. A do tego mam kresowe pochodzenie: babcia Kozaczka, ja Kozak. Czerpałem garściami z rodzinnej tradycji. Gdzieś to tkwi w kodach genetycznych i jeśli się potrafi, to



Krzesimir Dębski

fot. Michał Mitoraj



Ryszard Kapuściński ze studentami

fot. archiwalne Krzysztof Wojciewski

można z tego skorzystać. Dla mnie rezultaty były absolutnie niespodziewane.

Jak zaczęła się pańska kariera?

Jestem wykładowcą europejskiego systemu nauczania muzyki – systemu nie najgorszego. W niewielu krajach na Zachodzie jest tak, jak u nas. Tam muzyki ludzie uczą się dopiero na studiach. Gdy ja chodziłem do szkoły, od pierwszej klasy była matematyka, a potem był chór albo granie na instrumencie. Wszyscy od 6. roku życia uczyli się muzyki równolegle z innymi przedmiotami. Tak było we wszystkich krajach socjalistycznych, w przeciwieństwie do większości krajów zachodnich. Mimo że to było ekstensywne nauczanie, trwające – jak w moim przypadku – 24 lata, to jednak coś się nie udało. Jak się okazuje, w Ameryce wystarczą 4 lata studiów i gra się w najlepszych orkiestrach. Mają lepszy system.

Dlaczego?

W Ameryce najczęstsze jest prywatne nauczanie i dodatkowe zajęcia pozalekcyjne. Kto interesował się muzyką i wiązał z nią przyszłość, uczył się sam, a potem przechodził czteroletnie studia. Znaliśmy muzyków, a uczyli się znacznie krócej niż my. Mieli lepszy, bardziej intensywny system nauki – takiej rzeczywistej, nastawionej na konkurencję.

Czyli praktyka jest ważniejsza niż teoria.

Jak najbardziej, moją szkołą muzyki okazało się tworzenie aranżacji do polskich wersji amerykańskich przebojów, wykonywanych podczas koncertów, w jakich specjalizowała się TVP Poznań. Uprawiałem swoiste piractwo,

okradałem Amerykę z intelektualnego wysiłku jej muzyków. Ale to była najlepsza szkoła komponowania i aranżowania muzyki. Bardziej wartościowa niż całe studia.

Rozmawiali wolontariusze Fundacji Centrum Badań i Edukacji im. Ryszarda Kapuścińskiego

NOTOWAŁ: KONRAD J. ZARĘBSKI

Jerzy Hoffman świętuje 90 lat!

Gigant kina. Wyreżyserował wiele wybitnych filmów, także dokumentalnych. Dzięki pełnej rozmachu ekranizacji ukochanej lektury wielu pokoleń Polaków – Trylogii Henryka Sienkiewicza przeszedł do kanonu światowego filmu. W Holandii był dwukrotnie na zaproszenie Sceny Polskiej. Publiczność mogła spotkać osobiście reżysera podczas uroczystych pokazów filmów „Ogniem i mieczem” i „Bitwa Warszawska” w Utrechcie, s-Hertogenbosch, Brunssum i Tilburgu. To piękna lekcja historii, literatury i sztuki filmowej.

Jeden z najważniejszych polskich reżyserów, twórca takich filmów jak „Pan Wołodyjowski”, „Potop”, „Trędowata” i „Znachor” ukończył 15 marca 90 lat.

Jubilatowi życzymy wielu lat życia w dobrym zdrowiu dziękując za wspaniałą twórczość, którą przekazujemy następnym pokoleniom Polaków urodzonym już poza granicami Kraju.

Dziękujemy i życzymy wielu jeszcze lat w zdrowiu. **ZSCZ**



Jerzy Hoffman i Jerzy Michaluk w 1999 roku w Holandii fot. archiwum SPP

Vento di Mare – Morski wiatr



ANDRE SKIBNIEWSKI

Niespełna pięć lat temu umówiłem się na kolację przy świecach. Moim gościem była uroczą koleżanką w wieku mojej córki. Poszliśmy oczywiście do włoskiej restauracji. Best in town. Urządzona była ona w typowym, włoskim stylu – obrusy w białą-czerwoną kratkę, przyprawy z oliwą, zapach świeżych ziół, ustawione karafki z wodą i winem. Na ścianach wisiały zdjęcia celebrytów – podpisane, a jakże. Jak widać byle kto tutaj nie zaglądał. Cudowne miejsce – trochę „prijzig”, ale co tam. Raz się żyje. Nie widzieliśmy się od lat.

Wspólnych tematów było mnóstwo – od odległych, jej szkolnych czasów do pomysłów na wspólny wyjazd na wakacje. Po wspólnym obiedzie zamówiliśmy deser – oczywiście włoski. Tiramisù i zabaglione – ulubiony deser z czasów dzieciństwa, który podawała moja Mama. Dla dzieci nie było w nim oczywiście dodatku wina, ale ten smak i zapach zapamiętałem do dzisiaj. Wprawdzie nie było go w karcie, ale szef kuchni przygotował je specjalnie dla nas.

– Jest przy tym trochę pracy, może się nie udać. Un po' complicato... Niewiele restauracji to podaje...

Doceniając wysiłek zamówiłem podwójne limoncello i kawy: espresso doppio oraz americano. Mamy czas, piękny wieczór, będziemy długo go pamiętać.

Delektując się deserem nie myśleliśmy o problemach. Trzeba byłoby może zaplanować jakiś wspólny wyjazd, co? Najlepiej do ciepłych krajów. Albo do Włoch? Wyobraźmy sobie: wstajemy rano i widzimy nad widnokręgiem słońce, lazurowy kolor wybrzeża, plażę z rozstawionymi na niej leżakami i pokrytymi trzcina parasolami. Nie spiesząc się idziemy sobie na śniadanie. Później w planie mamy parasailing. Będzie jak w raj, coraz bliżej nieba. Trzeba tylko mieć paszport, polski też wystarczy. Świat jest piękny, otwarty. Zmienił się niesamowicie, na lepsze.

Kelner przyniósł zabaglione.

– Prego... Eet smakielijk.

Wspaniale. Kiedyś wyjedziemy do Włoch...Szkoda, że nie mam więcej gotów-

ki... przydałaby się, gdy dostanę rachunek. Kelner zasługuje na solidny napiwek. Wiem, że dzielą się z kuchnią. Szef też dostanie. Na stare lata na pewno przeprowadzę się do Włoch.

– Nog twee limoncello...Doppio alsje-blieft.

Delektując się deserem koleżanka zapytała z niewinną miną.

– Jak myślisz, będzie wojna?

Zakrzusilem się.

– Co masz na myśli? Jaka wojna?

– No wiesz, ludzie tak mówią...Czasy są niby niepewne. Tak słyszałam... Czytałam w Internecie...

– Nonsens. Kompletny nonsens! W dwudziestym pierwszym wieku? Gdzie niby ma być ta wojna? W Afryce? Na Bliskim Wschodzie? Ludzie różne rzeczy opowiadają. Bzdury. Liczy się tylko klikanie i przez to robienie kasy. Może gdzieś tam kiedyś będzie

ćwiczyć prawie codziennie, mam sporo czasu. Idzie mi coraz lepiej...

Przypomniałem sobie, jak dawno już temu, gdy byłem w jej wieku, oglądałem w telewizorze podobne programy. Gier komputerowych, takich jak dzisiejsze, jeszcze nie było. Pamiętam taką scenę: redaktor dużej stacji telewizyjnej stoi na balkonie hotelu, w wielkim mieście. Jest wieczór. Wybrał dobre miejsce – za nim od czasu do czasu widać fajerwerki, jakieś płomienie. Miał szczęście. Gdyby stanął w innym miejscu, miał inny pokój, niczego nie byłoby widać. Tylko jego. Wysoko, nad hotelem przelatują świetliste pociski. Pewnie obrona przeciwlotnicza, czy coś takiego. Żaden samolot nie spada, więc strzelają chyba na oślep. Pewnie nie umieją celować. Dziennikarz ubrany był w kamizelkę kuloodporną, na głowie miał hełm. W rękę mikrofon – z logotypem stacji, która jako jedna z nielicznych, przekazywała spek-



Ceriana, Liguria (Włochy)

Fot. A. Skibniewski

jakaś wojna, ale nie teraz. W Europie to jest na pewno wykluczone. Jestem trochę starszy od Ciebie i to wiem na pewno. Read my lips: NO NEW WAR!

Kurczę, ale strzeliła... Co oni tam w Internecie wygadują...Ach, ci młodzi...

Młodzi teraz są wychowani przez komputer, grają w jakieś gry wojenne, wymyślają strategię. Trzeba dobrze wycelować i puff! Pojawia się płomień. Przeciwnik znika. Czasami znikają w płomieniach całe hordy atakującej nas nieprzyjacielskiej armii. Czerwone, rozlewające się plamy pokazują realistycznie nasze sukcesy. W miarę zdobytych punktów rośnie w nas duma z osiągnięć.

Muszę i ja kiedyś poćwiczyć... Będę na czasie. COOL. Okazuje się jednak, że zotopienie okrętu wroga wcale nie jest takie łatwe, jak się komuś mogłoby wydawać. Teraz

takl całemu światu. Live, of course. Jego stacja miała na tę transmisję licencję. Od czasu do czasu gorzej było słychać – wyły syreny. Ulice były oświetlone – pojawiały się na nich wolno jadące samochody. Na ogół było spokojnie, można powiedzieć idyllicznie. Miasto było też całe jasno oświetlone – na ulicach było jaśniej niż w czasie stanu wojennego w Polsce.

Gdy błysków nie było i robiło się jakby trochę nudnawo, reporter oddawał głos do studia. W nim eksperci dyskutowali nad sytuacją, sprzecali się na różne tematy – kto co i kiedy zrobił, jakie jest podłoże historyczne, jak działania wpłyną na ekonomię, akcje, kursy walut. Przewidywali, jak sytuacja się rozwinie i jak świat zmieni się na lepsze lub na gorsze, gdy kurz już opadnie. Po ile będzie ropa? Damy radę!

Na szczęście były jeszcze reklamy – można było wtedy spokojnie popatrzeć na nowe kosmetyki, modne ubrania czy ekologiczne proszki do prania. Później trzeba było otworzyć sobie jakieś winko, przygotować słone paluszki i nerkowe orzeszki. A jutro rano do pracy. Szkoda, że to nie weekend!

Najciekawsze były jednak wywiady z VIP'ami na żywo. Prawdziwe wisienki na torcie. Goście byli zawsze dobrze przygotowani – mieli założone kamizelki kuloodporne i hełmy. Safety First! Na wszelki wypadek zawsze gdzieś pod ręką mieli maski przeciwgazowe. Mogłyby się przydać, gdyby wróg użył broni masowego rażenia. Niby to broń zabroniona, ale nigdy nie wiadomo. Gdyby nieprzyjaciel nią dysponował i nie daj Boże chciał użyć, mogłoby być już za późno.

Głośny ryk syreny i dzwonek przerywa wywiad. Alarm! Trzeba ubrać te, na szczęście już przygotowane, maski...

Oj, śmiechu warte. Jak oni je wkładają! Niezdarnie, jakby nigdy przedtem tego nie robili. Ja wiem, jak to trzeba zrobić! Uczyłem się na Studium Wojskowym. Podczas studiów przez jeden dzień w tygodniu byliśmy żołnierzami. A więc najpierw trzeba odłożyć mikrofon. Zdjąć hełm. Włożyć dwie wyprostowane dłonie z tyłu maski, naciągnąć na twarz. Dobrze byłoby się upewnić, czy maska podłączona jest do filtra. Inaczej wszystko nie ma sensu. Założyć hełm. Breathe normally! Później trzeba byłoby wziąć mikrofon (logo widoczne, skierowane do kamery!) do ręki i rozmawiać jakby nic się nie stało.

Pamiętam też, że w przypadku masek samowoli nie było. Zakładało się je ZAWSZE na komendę dowódcy:

– maski wdziej!

Albo:

– maski włoż!

Dokładnie już nie pamiętam, jaki rozkaz powinno się wydać. Wiem tylko, że za pomysłkę dostawało się pałę.

Redaktor stacji kontynuował wywiad w masce. Głosy przytłumione, jakiś bełkot po angielsku. Nic nie słyshać.

Na szczęście powrót do studia. Eksperci debatują. Są ubrani elegancko, koszule, marynarki, krawaty. Nie mają kamizelek i hełmów. Kilku z nich siedzi w wygodnych fotelach przy dużym stole. Dwóch połączyło się zdalnie, widząc ich na ekranach. Ach, ta technika... Chyba się teraz kłóć, ubliżają sobie na wizji. Nie bardzo uważam. Nie wiem, o co im chodzi.

Prowadzący podaje uświetnione kolorowymi wykresami najnowsze, sprawdzone dane. Tyle a tyle zginęło po obu stronach, w tym, niestety tyle a tyle cywilów. Oni są po stronie wroga, bo naszych tam prawie nie ma. To są oczywiście śmierci przypadkowe, niezamierzone. Mamy też inne ofiary, także i po naszej stronie. No cóż, tym razem przez tak zwany „friendly fire”. Może się zawsze przydarzyć. Wszystkie dane te są jednak niepewne – wrogowi przecież wierzyć nie można. Pomimo dołożenia wszelkich starań nasze liczby mogą być też niekompletne. Ale, niestety, innych, ze zrozumiałych względów nie ma.

– Obraziłeś się? Co tak zamilkłeś?

Zrobiło się cicho. Rzeczywiście, zamyśliłem się.

– Przepraszam, myślałem o czymś zupełnie innym. Stare dzieje... Smakowało? One for the Road? Po koniaczku? Przeprowadzamy się do Włoch?

Dokładnie rok temu zorganizowałem w domu przyjęcie. Dwóch moich przyjaciół obchodziło urodziny – prawie w tym samym czasie. Był to początek tak zwanej pandemii – niektórzy byli zaszczepieni, ja starając się być gentlemanem zapisałem się na szczepienie w dość odległym terminie. „Ladies First!” ... Poza tym, kto tak naprawdę wie, jak jest z tą pandemią? Koleżanka miała wynik dodatni, cała rodzina była uziemiona kwarantanną... I co? I nic... Fałszywy alarm. Jestem zdrowszy jak ryba.

Przed imprezą kolega nagrał filmik jak śpiewa:

– „It's a Party, o yeah, it's a Party, o yeah!

Dobrze mu to wyszło. Trochę fałszował, bo śpiewać nie umie. Ale film śmieszny.

Na imprezę przyszło kilkadziesiąt osób. Zabawa była przednia, pogoda dopisała. Win i innych szlachetnych trunków było w bród. Jeszcze zostało. Nie rozmawialiśmy o polityce, o problemach, teoriach spiskowych czy chorobach. Snuliśmy plany na przyszłość. Mówiliśmy o wyjazdach, rejsach, degustacjach i jak zwykle to bywa wspominaliśmy niezapomniane chwile naszej wczesnej młodości, studiów i stanu wojennego. Graliśmy na gitarach i na fortepianie. Sąsiedzi nie alarmowali – nikt nas nie słyszał albo może nie chciał zwracać nam uwagi.

W po-urodzinowy poniedziałek poczułem się na tyle nieswojo, że rano poszedłem do pobliskiej przychodni z zamiarem zrobienia sobie testu antygenowego. Później drugi test i kwarantanna. Po kilku dniach nasz rząd przysłał mi do domu puls – oksymetr, z nakazem wysyłania co cztery godziny danych o moim stanie zdrowia. Czasami musiałem pomachać z okna stojącym przed domem policjantom. Dobrzy ludzie zostawiali na parapecie mojego okna jedzenie. Uzupełnieniem diety były antybiotyki, probiotyki i standardowe leki na nadciśnienie, chorobę wieńcową i nadmierny cholesterol. Gdy wszystko zawiodło i sprawy się skomplikowały, przenieśliśmy się do jednego szpitala, a później do drugiego.

Minęło pół roku i mogłem już wyjść z domu na pierwszy dłuższy spacer. Powoli, jakby idąc w kondukcje pogrzebowym stawałem pierwsze kroki. Najpierw tysiąc, później dwa, sześć i dziesięć tysięcy. Smartfon liczy dokładnie, nie kłamie.

Solidarnie, przez cały czas choroby, do dzisiaj, opłacam członkostwo w moim Fitness Centre. Od czasu jego ponownego otwarcia w nim nie byłem. Jeszcze nie wyobrażam sobie, jak można przebiec 100 metrów i wyjść z tego obronną ręką. Ale, chociaż bardzo powoli, wszystko zmierza ku lepszemu.

Kilka tygodni temu postanowiłem w ramach rekonwalescencji polecieć do Włoch. Chciałem znowu zobaczyć normalny świat, w którym zawsze było mi dobrze. Chciałem poczuć morze, usłyszeć jego łagodny, miarowy oddech. Poczucić wiatr, wiejący w stronę lądu. Przy okazji chciałem też poćwiczyć znajomość języka, gdyż na stare lata ubzdurało mi się, że warto się go intensywnie uczyć. Mam tam przyjaciół, także z czasów holenderskich. Wprawdzie komputer udziela mi codziennie pochwał typu „ottimo lavoro, Andre”, ale do swobodnej rozmowy jest mi jeszcze bardzo daleko.

C.D. NA STRONIE 22 >>>



Bajardo, Liguria (Włochy)

Fot. A. Skibniewski

➤➤➤ C.D. ZE STRONY 21

Po wylądowaniu w Bergamo wybrałem się pociągiem do Sanremo. Tam zatrzymałem się na dłużej. Pojechałem sobie też w góry do pobliskich, zamieszkałych przez zaledwie kilkaset osób miasteczek jak Bajardo czy nieco większej Ceriany. W średniowiecznych trochę warunkach chciałem odpocząć, zaszyć się w otoczeniu dzikiej przyrody. Trudno tam żyć na co dzień, ale zawsze można spróbować na krótko cofnąć się w czasie o kilkaset lat. Koleżankę, z którą lata już temu zaczynaliśmy na Karaibach naszą przygodę z parasailingiem zaprosiłem na kolację. Tym razem była to portowa restauracja w Marinie, w samym centrum Sanremo.

Wyborna kolacja dobiegała już końca. Zjedliśmy doskonale podane pasta alla Portofino w kolorach włoskiej flagi oraz pansotti alla genovese z sosem orzechowym. Doskonale! Wino się kończy, zamawiam drugą butelkę. Raz się żyje! Lata lecą teraz szybciej niż kiedykolwiek. Zaraz będzie deser.

– I co myślisz o tej wojnie?

Trudne pytanie. Trochę dlatego, że wykażalem się naiwnością i tzw. „wishful thinking”. Ponad pół wieku temu obiecałem sobie wyzbyć się mojej naiwności na zawsze.

– No cóż – nigdy, przenigdy nie myślałem, że to się wydarzy. Nawet znajoma Rosjanka jeszcze trzy tygodnie temu żartowała: „powiedźcie mi, kiedy ta wojna ma wybuchnąć, bo jadę na urlop”. Nie wierzyłem... Naiwny byłem. Głupi. Nie pierwszy już raz. Koleżanka na urlop już nie pojedzie, mamy wojnę. Nawet bardzo blisko, przy polskiej granicy. Nie mam telewizora i nie mogę zobaczyć transmisji na żywo, fajerwerków i wywiadów w maskach gazowych. Wiem, że giną i cierpią ludzie, że obracają się w ruinę miasta w których bywałem i w których czułem się naprawdę szczęśliwy. Inny musi być już teraz Lwów, Kijów, Iwano-Frankiwska. Cenna pamiątka; świadectwo napromieniowania w Czarnobylu, będzie teraz pamiątką typu „Collector’s Item”.

Spacerujemy po porcie jachtowym. Na spokojnych wodach mariny trenują jeszcze kajakarze, do nabrzeża podchodzi mały jacht, będący własnością Sanremo Yacht Club. Młodzi żeglarze ćwiczą umiejętności żeglarskie – też przydatne w codziennym dorosłym życiu. Już ciemno. Jutro rano muszę wyjechać do Bergamo, stąd mam kilka godzin jazdy pociągiem. Ale nie wiadomo, jak to będzie – kolej strajkuje, bo kobiety spotyka przemoc i ich prawa nie są respektowane. Do wieczora może jakoś dojadę.

Zrobiło się chłodno, wiatr od morza wieje coraz mocniej.

– I co? Jakie masz plany? Może zostaniesz tutaj? Czasy są trochę niepewne...

Kiedyś już tego doświadczyłem. Czterdzieści ponad lat temu też czasy były niepew-



Sanremo, Liguria (Włochy). Widok na port.

Fot. A. Skibniewski

ne, ale do domu wróciłem. Wszystko wyszło na dobre.

– Pojadę jutro rano. Na pewno kiedyś wrócę. Czujesz ten wiatr? Wieje od morza. Przegoni zło i będzie znowu normalnie. Trzeba tylko uzbroić się w cierpliwość. Znam sporo osób na Ukrainie. Chcę z nimi porozmawiać. Trochę mi się spieszy...

Gdy rano spacerowałem po porcie widziałem piękny jacht „Lady M”. Chciałem go sfotografować, ale był tak przycumowany, że widziałem tylko jego rufę. Jeszcze kilka dni temu należał do Aleksieja Mordaszowa, rosyjskiego oligarchy. Była także „Lena” której właścicielem był Giennadij Timczenko. Oba zostały wczoraj zajęte przez włoską policję. Będzie parę groszy na odbudowę Ukrainy. Nie wystarczy na wszystko, ale na pewno się przyda.

Świat nie jest bezradny. Ten, kto wydał decyzję o zabiciu tysięcy ludzi i zrujnowaniu jakiegoś kraju, zasługuje na najwyższy wymiar kary. Nieważne są jego motywacje. Nie ma żadnych okoliczności łagodzących ani tłumaczeń. Nie ma „historycznych racji”. Nie słuchamy oratorskiej demagogii. W minionym wieku świat wiele doświadczył i powinien wyciągnąć już wnioski. Raz na zawsze. W cywilizowanym towarzystwie rozwiązywanie jakichkolwiek problemów przez wywołanie wojny jest po prostu nie do zaakceptowania.

Udowodnienie winy jest tutaj i w podobnych przypadkach bardzo proste. Jest to znacznie łatwiejsze niż w przypadku zabójstw, rabunków czy wypadków drogowych. Niemożliwe jest matactwo, ukrywanie prawdy, przeinaczanie rzeczywistości. Zbrodni dokonuje się w blasku fleszów i kamer. Oczywistych dowodów winy jest pod dostatkiem.

W rzeczywistości przestępstwo popełnia bardzo mała grupka ludzi, Udałoby się ją zmieścić w jednej małej sali kinowej. Jest to kilka – a może kilkadziesiąt osób, które zdecydowały o życiu i śmierci tysięcy ludzi. To jednostki decydują o tym, że tysiące lu-

dzi zginą lub zostaną kalekami. Kilkadziesiąt osób zdecydowało, że miliony przez wiele następnych lat będą skazane na biedę i niedostatek.

Zatem sprawa jest prosta. Udowodnienie winy nie będzie najmniejszym problemem.

A kara? Wysokość kary jest tutaj oczywista: najwyższa z możliwych. Jak wiemy jednak, sama wysokość kary nie jest wystarczającym warunkiem, żeby w przyszłości zbrodni nikt nie popełniał. Jedynie jej nieuchronność może kogoś powstrzymać. Zbrodniarz zawsze liczy na to, że będzie miał szczęście, że sprawa nie ujrzy światła dziennego, że jakoś to będzie.

Zatem wolny świat musi przygotować się na to, że sprawa zostanie rozwiązana raz na zawsze. A „trouble makers” muszą wiedzieć, że przyjdzie czas, kiedy w niedalekiej przyszłości doczekają się wykonania wyroku skazującego na najwyższy wymiar kary. Jeżeli dwa i dwa jest cztery spotka ich to na pewno.

Wiatr od morza jakby stężał. Vento di mare... Światła główek portu i boi oznaczających podejście do portu Sanremo migają miarowo. Zrobiło się chłodno – klimat północnych Włoch wieczorem przypomina pogodę w Środkowej Europie.

– One for the Road?

Pytam nieśmiało.

– Si, grazie... Molto volentieri...

Idziemy do baru w pobliżu słynnego Kasy. Jutro rano przed pójściem na stację muszę jeszcze pobiec do delikatesów i kupić półmetrowe czarne spaghetti, formaggi, i butelkę Pinot Grigio. Będzie jutro na wieczór!

Z okazji zbliżających się Świąt Wielkanocnych Wszystkim Wielbiciele, Sympatykom i przygodnym Czytelnikom Sceny Polskiej w Holandii życzę ZDROWIA, wytrwałości i siły w spełnianiu naszych szlachetnych powinności i aby POKÓJ w Europie zapanował jak najwcześniej. Do zobaczenia w Holandii! Vrolijk Pasen!

Stichting Polish Culture NL



BOŻENA KOPCZYŃSKA

Polska jest obecna na mapie Europy od ponad 1000 lat. Od samego początku była blisko związana z pozostałymi krajami europejskimi. Z Europą zachodnią ziemie polskie przez lata były powiązane poprzez niezwykle silny w średniowieczu Związek Hanzeatycki.

To dzięki niemu powstawały szczególne relacje handlowe i kulturowe pomiędzy Niderlandami i Polską. Dziś Polska kojarzona jest w Europie głównie przez pryzmat najnowszej historii. O polskiej kulturze mieszkańcy Holandii wiedzą niewiele. Znajomość dorobku artystycznego i intelektualnego Polaków jest minimalna. A przecież jesteśmy szóstą mniejszością językową w tym kraju.

W Amsterdamie mieszka 180 różnych narodowości. Popularyzacją kultury i wizerunkiem dużych krajów europejskich zajmują się w Holandii fundacje i instytuty kulturalne – takie jak Instytut Goethego, Cervantes czy Instytut Francuski. Instytutu Polskiego w Holandii brakuje. Dlatego postanowiliśmy wypełnić istniejącą lukę i we wrześniu 2020 roku powstała Fundacja Polish Culture NL.

Głównym celem Fundacji jest promocja polskiej kultury i sztuki, budowanie kulturowych mostów pomiędzy naszymi krajami, promocja języka polskiego (język jest częścią kultury i oferuje do niej dostęp) oraz wspieranie wszelkiej działalności kulturalnej związanej z Polską. Wierzymy, że międzynarodowa współpraca i wymiana kulturalna wzbogaca każde społeczeństwo, i że właśnie kultura jest najlepszą platformą do rozwijania wzajemnego zrozumienia.

Mieszkańcom Holandii trudno jest znaleźć informacje na temat naszej kultury, głównie ze względu na barierę językową i brak jednego konkretnego miejsca, gdzie takie informacje byłyby dostępne. Funda-

cja Polish Culture NL będzie właśnie takim miejscem. Chcemy nawiązać współpracę z wieloma innymi organizacjami.

Odbiorcami naszych wydarzeń są wszyscy mieszkańcy Holandii zainteresowani sztuką, kulturą, literaturą czy muzyką. Partnerem naszych działań jest Biblioteka Publiczna w Amsterdamie (Openbare Bibliotheek Amsterdam – OBA Oosterdok).

Pomimo trudnej sytuacji pandemicznej udało nam się już zorganizować parę wydarzeń:

W ramach Maand van de geschiedenis (Miesiąc historii) – odbył się Wykład o Polskich śladach w Amsterdamie oraz wycieczki, na które zgłosiło się wiele osób. Na nasze

równie klasykę literatury polskiej jak i polską literaturę najnowszą w języku polskim oraz niderlandzkim. W kolekcji znajdują się beletrystyka i literatura faktu, książki dla dorosłych i dzieci.

Naszym celem jest to, by polskojęzyczny bibliofil mieszkający w Holandii mógł znaleźć wartościową lekturę, a czytelnicy posługujący się językiem niderlandzkim mieli dostęp do tłumaczeń najbardziej wartościowych pozycji polskiej literatury.

Nasza inicjatywa jest bardzo ważna także dla dzieci. Do tej pory w Bibliotece Publicznej brak było polskich książek dziecięcych.

Dla młodych odbiorców zakupiliśmy 150 książek, w tym wiele w dwóch wersjach językowych. Od września 2022 planujemy organizować raz w miesiącu, czytanie dla dzieci po polsku w bibliotece.

19 maja 2022 mamy zaplanowane oficjalne, uroczyste otwarcie polskiej kolekcji książek w Bibliotece Publicznej OBA Oosterdok w Amsterdamie. Tego wieczoru odbędzie się krótka debata na temat piękna polskiej literatury, jej znaczenia dla literatury światowej

i praktyk przekładu literackiego. Podczas uroczystości zaplanowany jest także krótki koncert muzyki polskiej i recytacja polskiej poezji po holendersku. Zapraszamy!

Na naszej stronie www.polishculture.nl prezentujemy nowinki kulturalne z Polski i Holandii w trzech językach. Dostępne też są dwa podcasty o polskich tradycjach związanych ze Świątami.

Mamy też wielką przyjemność zaanonsować, że Fundacja Polish Culture NL wraz ze Sceną Polską – Pools Podium przygotowuje przegląd polskich filmów, który odbędzie się 5, 6 i 7 października 2022.

Serdecznie zapraszamy do śledzenia nas w mediach społecznościowych: FB i Instagram i na naszą stronę, gdzie publikujemy informacje o nowych inicjatywach. Mamy nadzieję spotkać wkrótce wielu z Państwa na organizowanych przez nas imprezach. Do zobaczenia!



stronie jest link do krótkiego filmu „Polskie ślady w Amsterdamie” – „Poolse sporen in Amsterdam”.

„Wieczór z Chopinem” to wykład i koncert pokazujący życie Chopina. Jak historia Europy XIX wieku wpłynęła na jego życie i twórczość? Wykonawcami byli: Clara Biermasz (Chopin Stichting) i Bożena Kopczyńska (Stichting Polish Culture NL)

Za nami już dwie edycje sympozjum „Language Diversity in Amsterdam” – „Różnorodność językowa w Amsterdamie” mającego na celu promocję języka ojczystego w edukacji. Wzięli w nim udział eksperci z dziedziny lingwistyki, pedagogiki i psychologii. Kolejna edycja już 25 września 2022!

Głównym projektem realizowanym przez OBA Oosterdok jest „Huis van Alle talen” – „Dom wszystkich języków”, centrum wymiany wiedzy i współpracy.

W ramach projektu ‘Huis van alle Talen’, udało nam się stworzyć w Bibliotece Publicznej OBA Oosterdok pierwszy poważny zbiór polskich książek. Zbiór zawiera za-

Poznaj „Oscary” polskiej turystyki



POLISH
TOURISM
ORGANISATION

Polska Organizacja Turystyczna od 2003 roku organizuje konkurs na Najlepszy Produkt Turystyczny. Celem jest podniesienie jakości oferty turystycznej poprzez kreowanie i promowanie produktów, które nie tylko wyróżniają się atrakcyjnością turystyczną, są nowatorskie, przyjazne turystom i dają wiele możliwości spędzenia wolnego czasu w ciekawy sposób. Od 2008 r. przyznawany jest również Złoty Certyfikat – specjalna nagroda stworzona dla już certyfikowanych produktów turystycznych, które rozwijają się w unikalny i wyjątkowy sposób. Dotychczas jego laureatami zostały: Centrum Edukacji Ekologicznej Hydropolis, Zabytkowa Kopalnia Srebra w Tarnowskich Górach, Muzeum Powstania Warszawskiego, Żywe Muzeum Piernika, Industriada, Kopalnia Złota i Średniowiecznego Parku Techniki w Złotym Stoku, Park Nauki i Rozrywki Krasiejów, Szlak Architektury Drewnianej, Szlak Orlich Gniazd, Festiwal „Przystanek Woodstock”, Łódzka Manufaktura, Kanał Augustowski – Szlak Papieski, Szlak Zabytków Techniki.

Zapraszamy do lektury na temat najciekawszych produktów, z różnych części Polski, nagrodzonych w 2021. Może staną się inspiracją do pięknej i zaskakującej podróży po Polsce podczas nadchodzącego lata?

ZŁOTY CERTYFIKAT – Centrum Edukacji Ekologicznej Hydropolis we Wrocławiu

Hydropolis to unikatowe centrum wiedzy o wodzie, które łączy walory edu-



Geopark w regionie świętokrzyskim

cyjne z nowoczesną formą wystawienniczą. Jest także wyjątkowym przykładem rewitalizacji obiektu przemysłowego. Ekspozycja poświęcona wodzie mieści się w XIX-wiecznym podziemnym zbiorniku wody czystej. Wystawa składa się z siedmiu stałych stref tematycznych, cyklicznych wystaw czasowych, specjalnej strefy dla dzieci oraz przestrzeni relaksu. W ofercie stałej Hydropolis, oprócz zwiedzania wystawy, są warsztaty edukacyjne oraz zajęcia projektowe. W kalendarzu zapisały się na stałe wydarzenia organizowane w duchu less waste, których głównym zadaniem jest promowanie proekologicznych postaw i uwrażliwienie na problemy spowodowane zmianami klimatu.

<https://hydropolis.pl>

Geopark w regionie świętokrzyskim

Geopark Świętokrzyski to przede wszystkim unikatowe walory geologiczne i związana z nimi opowieść, w którą wplecione są wątki związane z historią człowieka. To jeden z nielicznych obszarów w Europie, na którym można prześledzić historię ponad pół miliarda lat zapisaną w skałach wyeksponowanych w licznych, udostępnionych turystycznie geostanowiskach.

<https://geopark.pl>

Juromania – święto Jury Krakowsko-Częstochowskiej na Śląsku

Trzydniowe święto Jury Krakowsko-Częstochowskiej przypadające na trzeci



Centrum Hydropolis we Wrocławiu



Juromania – święto Jury Krakowsko-Częstochowskiej na Śląsku

weekend września. Juromania łączy zamki położone na Szlaku Orlich Gniazd, jurajskie skały i jaskinie, Pustynię Błędownską, Dolinę Prądnika, miasteczka jurajskie, Częstochowę i Kraków. Jura jest idealnym terenem do uprawiania wspinaczki, biegania, speleologii, turystyki kulturowej.

<https://www.juromania.pl>

Rogalowe Muzeum w Poznaniu

Rogalowe Muzeum Poznania to miejsce, gdzie w przystępny i zaskakujący sposób można poznać tajniki wypieku oraz historię najbardziej cenionego wielkopolskiego produktu regionalnego – rogała świętomarcińskiego. Muzeum mieści się w samym sercu miasta, na Starym Rynku w zabytkowej, 500-letniej kamienicy renesansowej. Wizyta w Rogalowym Muzeum to sesje prowadzone na żywo dla zgromadzonej widowni. Narracja toczy się wokół przygotowania rogała świętomarcińskiego, który jest pretekstem do opowieści o historii, tradycjach i współczesności Poznania

<http://rogalowemuzeum.pl>

Tykocin – Pomnik Historii na Podlasiu

Blisko 600-letnie miasto Tykocin jest jednym z najstarszych i najpiękniejszych zespołów urbanistycznych historycznego Podlasia. Przez Tykocin prowadzi szlak architektury drewnianej a samo miasto leży na szlaku rowerowym Green Velo. Wśród lokalnych atrakcji są zamek, Kiermusy i Muzeum Oręża Polskiego oraz jedyna w Polsce Europejska Wieś Bociania – Pentowo.

<http://umtykocin.pl>



Tykocin – Pomnik Historii na Podlasiu



Żywe Muzeum Obwarzanka w Krakowie



Rogalowe Muzeum w Poznaniu.

Żywe Muzeum Obwarzanka w Krakowie

Żywe Muzeum Obwarzanka to stosunkowo nowe miejsce na mapie Krakowa, którego misją jest interaktywne przedstawienie ponad 600-letniej historii, tradycji i procesu produkcji obwarzanka krakowskiego. Odwiedzający muzeum goście, uczestnicząc w „warsztatach obwarzankowych” mają możliwość poznania najsmaczniejszego symbolu Krakowa.

<https://www.muzeumobwarzanka.com>

Więcej informacji o Polsce
i produktach certyfikowanych
znajdą Państwo na

www.certyfikaty.polska.travel

Maak kennis met de „Oscars” van het Poolse toerisme

Sinds 2003 organiseert de Poolse Organisatie voor Toerisme de wedstrijd voor het Beste Toeristische Product. Het doel is de kwaliteit van het toeristische aanbod te verbeteren door producten te creëren en te promoten die zich niet alleen onderscheiden door hun toeristische aantrekkelijkheid, maar die ook innovatief en toeristvriendelijk zijn en veel mogelijkheden bieden om je vrije tijd op een interessante manier door te brengen. Sinds 2008 wordt ook het Gouden Certificaat uitgereikt – een speciale prijs die in het leven is geroepen voor reeds gecertificeerde toeristische producten die zich op een unieke en uitzonderlijke manier ontwikkelen. Dit zijn de winnaars tot nu toe: het Ecologisch Educatiecentrum Hydropolis, de Historische Zilvermijn in Tarnowskie Góry, het Museum van de Opstand van Warschau, het Interactief Peperkoekmuseum, Industriada, het Goudmijn en Middeleeuws Technologiepark in Złoty Stok, Krasiejów Wetenschap – en Recreatiepark, de Houten Architectuurroute, de Adelaarsnestroute, het Woodstock Stop Festival, Łódź Manufaktura, het Augustowski-Kanaal, de Pauselijke Route, de Route van Technische Bezienswaardigheden.

We nodigen u uit om te lezen over de meest interessante producten, uit verschillende delen van Polen, die in 2021 werden bekroond. Misschien worden ze wel een inspiratiebron voor een mooie en verrassende reis door Polen tijdens volgende zomer?

GOUDEN CERTIFICAAT – Ecologisch Educatiecentrum “Hydropolis” in Wrocław

Hydropolis is een uniek kenniscentrum over water, dat educatieve waarden combineert met een moderne tentoonstellingsvorm. Het is ook een uitzonderlijk voorbeeld van revitalisering van een postindustriële faciliteit. De expositie over water bevindt zich in een ondergronds reservoir van zuiver water uit de 19e eeuw. De expositie bestaat uit zeven permanente thematische zones, cyclische tijdelijke tentoonstellingen, een speciale zone voor kinderen en een ontspanningsruimte. Het permanente aanbod van Hydropolis omvat, naast een bezoek aan de tentoonstelling, educatieve workshops en projectactiviteiten. De kalender bevat een permanent overzicht van evenementen die in de geest van less waste worden georganiseerd en die



POLISH
TOURISM
ORGANISATION

Meer informatie over Polen en gecertificeerde producten is te vinden op www.certyfikaty.polska.travel

vooral tot doel hebben een pro-ecologische houding te bevorderen en de mensen bewust te maken van de problemen die het gevolg zijn van de klimaatverandering. <http://hydropolis.pl>

Geopark in de regio Świętokrzyskie

Het Geopark Świętokrzyski is bovenal een uniek geologisch gebied met een bijbehorend verhaal, waarin onderdelen zijn verweven die verband houden met de menselijke geschiedenis. Het is een van de weinige gebieden in Europa waar men de geschiedenis van meer dan een half miljard jaar kan traceren, geschreven in de rotsen die blootgelegd zijn in talrijke geo plaatsen die toegankelijk zijn voor toeristen.

<http://geopark.pl>

Juromania – het Krakau-Częstochowa Jurafeest in Silezië

Een driedaags feest van de Juraketen Krakau-Częstochowa dat valt in het derde weekend van september. Juromania verenigt kastelen op het spoor van de adelaarsnesten, Jurageestenten en grotten, de Błędowska-woestijn, de Prądnik-vallei, Jurasteden, Częstochowa en Krakau. De Jura is een ideaal gebied voor klimmen, hardlopen, speleologie en cultureel toerisme.

<http://www.juromania.pl>

Het Rogalowe Croissantmuseum in Poznań

Het Croissantmuseum van Poznań is een plaats waar u op een toegankelijke en verrassende manier de geheimen van het bakken en de geschiedenis van het meest gewaardeerde regionale product van Wielkopolska

– de Świętomarciński croissant – kunt leren kennen. Het museum bevindt zich in het hart van de stad, op de Oude Markt, in een historisch renaissancegebouw dat 500 jaar oud is. Een bezoek aan het Croissantmuseum gaat gepaard met live-sessies voor het verzamelde publiek. Het verhaal draait om de bereiding van een Sint-Maarten croissant, die een voorwendsel is om te praten over de geschiedenis, de tradities en het hedendaagse leven van Poznań.

<http://rogalowemuzeum.pl>

Tykocin – een monument van geschiedenis in Podlasie

De bijna 600 jaar oude stad Tykocin is een van de oudste en mooiste stedelijke gebieden in de historische regio Podlasie. Door Tykocin loopt de route van houten architectuur en het stadje zelf ligt aan de Green Velo-fietsroute. Lokale attracties zijn onder andere het kasteel, Kiermusy en het Museum van Poolse Wapens, evenals het enige Europese ooievaarsdorp in Polen – Pentowo.

<http://umtykocin.pl>

Interactief Bagelmuseum in Krakau

Het Interactief Bagelmuseum is een relatief nieuwe plaats op de kaart van Krakau, met als missie een interactieve presentatie te geven van meer dan 600 jaar geschiedenis, traditie en productieproces van de Krakauer obwarzanek (bagel). Bezoekers van het museum die deelnemen aan de „obwarzanek-workshops” krijgen de gelegenheid om het lekkerste symbool van Krakau te leren kennen.

<http://www.muzeumobwarzanka.com>

Pomaganie niesie nadzieję. Z Niderlandów w Bieszczady.



EDYTA WILK

„Dla serc szlachetnych najwyższą rozkoszą, gdy drugim radość w niedoli przynoszą.”

A. Asnyk.

Tak to już jest na świecie, że los nierówno obdziela ludzi. Majątkami, zdrowiem i szczęściem. Jak historia pokazuje, na świecie co chwilę wybuchają rewolucje, konflikty czy regularne wojny. Niektórzy muszą uciekać z własnych domów, inni pozostają by walczyć. Jedni potrzebują takiej czy innej pomocy, pozostali potrafią taką pomoc zorganizować.

Posłuchajmy niecodziennej opowieści Pierra z Holandii, którego los przywiódł w Bieszczady w związku z pomaganiem i podtrzymywaniem tradycji pomagania innym, tym którzy są w potrzebie.

Mama Pierra, Berta mieszkająca w Holandii już w czasach II wojny światowej zajęła się pomocą i współpracą z antynazistowskimi żołnierzami. Los sprawił, że natknęła się na Wiktora Kierisza pochodzącego z Katowic – Gliwic, który jako zakonspirowany agent działał w armii niemieckiej. Po wojnie Wiktor nie mógł wrócić do Polski, pozostał w Bielefeld i cały czas utrzymywał kontakt z rodzicami Pierra. Wiktor został uznany przez komunistów za kolaboranta, co za tym idzie nie mógł wrócić do rodzinnej miejscowości. Tęsknotę za rodziną łagodziła mu przyjaźń z rodzicami Pierra. Obecnie niedaleko miejsca w którym mieszkał Pierre znajduje się cmentarz na którym spoczywają polscy żołnierze generała Maczka. Co roku młodzież holenderska i polska spotyka się by uczcić pamięć bohaterów tamtejszych czasów.

Czasy wojny zostawia we wszystkich niezapomniane uczucia i zmienia postrzeganie rzeczywistości. Dokładnie 40 lat temu (13 grudnia 2021) rozpoczął się stan wojenny. Mama Pierra znów zakasała rękawy. Stwierdziła, że nie będzie siedzieć z założonymi rękawami, skoro blisko jest

kraj, gdzie potrzebna jest pomoc. Organizowaniem pomocy dla kraju w którym były puste sklepy, źle zaopatrzone szpitale, czy braki podstawowych rzeczy np. w domach dziecka. Pierr pomagając mamie, zaczął organizować pierwsze transporty do szpitali. Tiry (po 4-5 sztuk) wypełnione po brzegi sprzętem do szpitali i niezbędnymi lekami jeździły do Polski. Przemierzały setki kilometrów przez Berlin, Wrocław, Warszawę. W Warszawie następował przeładunek i część darów jechała na Suwałki, część w stronę Lublina, Sandomierza, Przemysła, Jarosławia. Mama Pierra zauważyła, że największe potrzeby są na południu i północno – wschodniej Polsce. Stworzyła Fundację Stichting Steun Kinderen in Polen, która zaczęła regularną współpracę z DPS-ami i Domami Dziecka. Podczas wielu lat współpracy w naszych okolicach Fundacja pomogła w remoncie Dom Pomocy Społecznej w Brzozowie, DPS w Zagórze, Wielkich Oczach, szkołę w Cisnej. Mama Pierra zmarła w 1988 roku. Pierre obecnie dzieli swoje życie między Holandią a Polską.

Podczas podróży między wymienionymi krajami, Pierre zakochał się w Bieszczadach. Jednak z Bieszczad niedaleko na Ukrainę, i razem z kolegą Lexem zaczęli odwiedzać naszych sąsiadów.

– Granica była dla mnie sztucznym tworem, nie czułem różnicy między Polską południowo-wschodnią a zachodnią Ukrainą. Wszędzie są życzliwi ludzie, piękne krajo-

brazy i dzieją się interesujące historie – opowiadał Pierre.

Nikt nie spodziewał się, że wybuchnie wojna.

Kiedy tylko wybuchła, Pierre i Lex skontaktowali się z księdzem Janikiem z Myczkowiec.

– Nie zapytałem oczywiście czy pomagać, ale jak pomagać – mówi Pierre.

To naturalne, że chcieli pomóc. Na początku dwa razy dziennie organizowali busy wypełnione najpotrzebniejszymi rzeczami na granicę. Udało im się również zorganizować generator prądotwórczy by gotować ciepłe posiłki na granicy. Drugi, bardzo duży generator trafił do szpitala na Ukrainie.

Koledzy chcą teraz skupić się na pomaganiu tu na miejscu. Odwiedzają najbliższe punkty pomocy uchodźcom. Chcą by ich pomoc była celowa.

– Chcemy podkreślić, że Holandia przyjmuje uchodźców. Ci, którzy chcieliby rozpocząć nowe życie w Niderlandach, mogą kontaktować się z Fundacją. Nikogo nie zostawimy bez pomocy i opieki. Służymy również pomocą w przedostaniu się do Holandii – dodaje na koniec Pierre.

Trudne czasy nastały, ale dzięki ludziom takim jak koledzy z Holandii i wielu innych, których nie sposób wymienić, jest nadzieja, że wszystko będzie dobrze...

ŹRÓDŁO: WWW.TYGODNIKSANOCKI.PL



www.steunkindereninpole.nl



POLISH
TOURISM
ORGANISATION

POLAND.

More than you expected

■ www.polen.travel/nl #visitpoland

Przemyśl